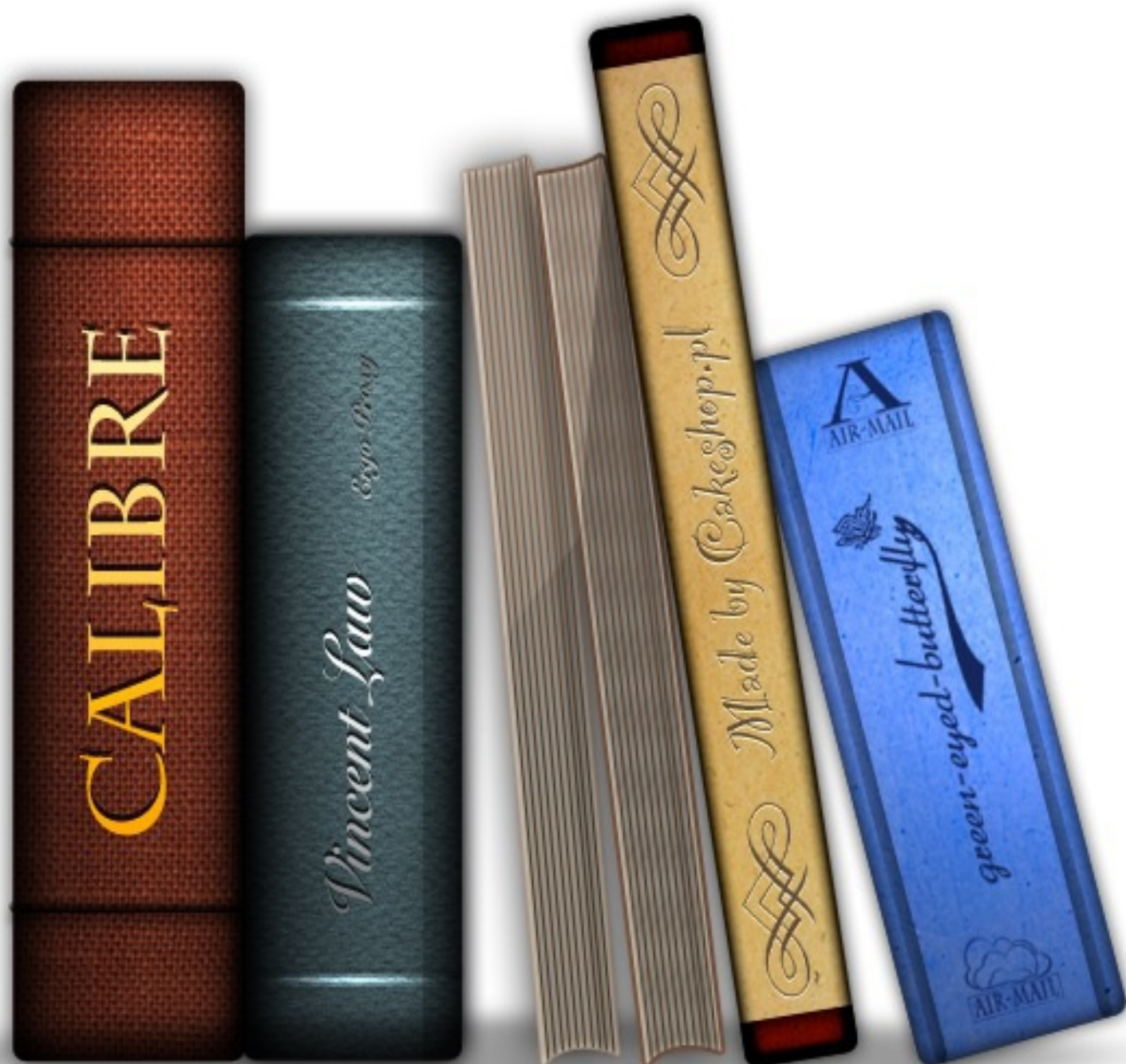


Przygody rycerza Darlana

KOŁODZIEJCZAK TOMASZ



calibre 0.7.28

Tomasz Kolodziejczak

Przygody rycerza Darlana

Wydanie polskie: 2003iMN

ROZA DLA LUCYNDY

Elf Papuszkas sie nudzil. Lezal na wznak na lisciu lopuchu, to sie pobujal, to podlubil palcem w nosie, to popatrzył na przepływające nad głowa chmury. Lipcowe słońce prazyło mocno, opalając Papuszkasowa twarzyczkę na kolor rumianego paczka. "A może by tak przekrecić się na drugi bok? - pomyślał Papuszkas. - Eee... nie chce mi się".

Papuszkas z wielkim trudem ukończył czwartą klasę w elfiej szkole. Teraz był sam środek wakacji i elf odpoczywał, zapominając wszystko, czego się nauczył - i ptasia mowę, i obyczaje rusalek, i reguły postępowania z olbrzymami. Za to psocił co niemiara. Ale teraz po miesiącu wakacji i to go znudziło, więc się nudził.

"Hej, paniczu! - z zadumy wyrwał go chór delikatnych, drzących głosików. - Hej, hej, paniczu!".

-Czego? - burknął mało elegancko i ostrożnie otworzył jedno oko. Nie poraziło go słońce, bo przesłaniał je cień szerokich skrzydeł. Kolorowe motyle przesuwali się nad głowa elfa, z szacunkiem wachlując go skrzydełkami.

"Paniczu, uważaj! - znów zaspiewały motyle. - Człowiek, droga jedzie człowiek!".

-Człowiek? - Papuszkas zastanowił się przez chwilę. - Aaa... takie wielkie, niezgrabne, bez skrzydeł?

"Tak, paniczu - zaswiergotały radośnie motyle. - Bez skrzydeł i kolorów! Paskudne!",

-Podszuchaliście go? - Papuszkas wiedział doskonale, że motyle, służki elfów, choć wydają się delikatne i niewinne, tak naprawdę są strasznie wścibskie. Ich dar słyszenia uczuć, emocji i myśli już nieraz służył elfowi.

"Tak, panie - wyszeptali zadowolone, że mogą przydać się na coś jeszcze. - Jego myśli są ładniejsze niż on... Chociaż są dziwne. Jest w nich słońce, ale i grom burzy... Jest wesola piosenka i granie bebnów, i...".

-I co jeszcze?! - przerwał Papuszkas.

"My nie znamy - motyle jakby się zawahały - tych złych i strasznych rzeczy o których on wie. Ale on ich nie lubi. Chyba jest dobry. Za to cały czas myśli o czerwonym kwiecie królowej. Co to jest królowa, paniczu?".

-Bardzo straszny stwor - mruknal Papuszkas bez przekonania. - No, zmiatajcie! - Widzac w motylach oczach cien smutku, dodal laskawie: - Dobrze sie spisalyscie.

"Dziękujemy, paniczu..." - motyle radosnie zakolowaly nad jego glowa, po czym odfrunely, Papuszkas przez chwile obserwowal, jak mknely nad ukwiecona laka. Ich skrzydelka mienily sie tysiacem blaskow wydobywanych przez sloneczne promienie. Lecz blogi nastroj Papuszkasa prysnal zaraz, przerwany naglym dzwiekiem:

Gdy ci kaza zyc wygodnie,

Szpinak jesc, popijac tran,

To ostatnie wciagaj spodnie

I na szlak wyruszaj sam!

Wesola mina spiewajacego podroznika wskazywala na to, ze uwaza sie on za osobe niezwykle muzykalna. Papuszkas jednak bez trudu stwierdzil, ze przybysz sie myli.

Elf po raz pierwszy widzial prawdziwego czlowieka, wiec przygladal sie temu stworzeniu z wielka ciekawoscia. Rozpaczliwie usilowal przypomniec sobie wszystkie lekcje dotyczace rasy ludzkiej. Na prozno, bo czesc zajec oczywiscie przespial, a czesc przewagarowal.

"To chyba samiec"- pomyslal Papuszkas, obserwujac wysoka, chuda postac. Czlowiek ubrany byl w brazowy, nieco podniszczony kaftan. Przy jego lewym boku kolysal sie miecz, a przy prawym manierka. Znad sumiastych wasisk i dlugiego nochala blyskala para ciekawskich, wesolych oczu. Jechal na zielonym, wlochatym biegaczu i starannie wyczesanym futrze.

Papuszkas nie bal sie czlowieka. Mogl mu umknac w kazdej chwili. Zreszta mozliwosc zabicia nudy warta byla odrobiny ryzyka. Bez wahania wylecial naprzeciw zblizajacemu sie olbrzymowi.

-Stoj, czlowieku! - krzyknal.

Wedrowiec wstrzymal wierzchowca. Zaraz jednak otrzasnal sie z oslupienia i usmiechnal.

-O, elf! - powiedzial. - Witaj, maluchu.

-Malu... coo?! - Papuszkas zatrzasl sie z oburzenia. Powinien natychmiast sie obrazic i zamienic przybysza w bociana. Albo w tego... no... pingwina... Jednak powstrzymal sie. Potrzebowal rozrywki, zabawy, emocji, a nie zwyczajnych czarow. Papuszkas zaczal knuc.

-A ty kto jestes, he? - spytal.

-Darlan, bledny rycerz, do uslug - czlowiek poklonil sie dwornie. - Wedruje po swiecie w

poszukiwaniu pięknych panien do ratowania, skarbow do zdobycia i ohydnych potworów do pokonania, a przede wszystkim...

-O, potworów, potworów! - krzyknął Papuszkas, udając przerażenie. - O tym właśnie chciałem powiedzieć. Tu niedaleko mieszka potwór; wyjątkowo ohydny troll, taki z krostami i kurzajkami, i niesamowicie wielka gęba,

-Czy trzeba go pokonać?! - oczy Darlana zabłysły. - Prowadz, maluchu!

-Uważaj! - Papuszkas z trudem przelknął kolejną zniechęcenie. - To nie jest zwykły troll. Kiedyś złapał stryjka babki mojego szwagra. Trzymał go w grocie przez tydzień. Strijkowi babki szwagra udało się zwiąć, ale opowiadał straszne rzeczy. A najgorsze - tu Papuszkas dramatycznie zawiesił głos - że troll w kryształowej klatce wiezi czerwona róża...

-Czerwona róża?! - Darlan aż podskoczył w siodle. - Jaka róża?!

-Jak to jaka? Czerwona, z kolcami. Wiem tylko tyle, bo zaraz potem stryjka babki szwagra zjadła zęba.

-Prowadz, i to już! - zdecydował Darlan. - Albo nie, zaczekaj!

Darlan schował z pleców tobolek. Wyjął z niego kolczugę i hełm. Ubrał się, poprawił miecz przy pasie.

-Prowadz, ma... - zawahał się - panie elfie!

-No, już lepiej - mruknął Papuszkas. - Ale uprzedzam cię, że to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne...

-Tym lepiej. Idziemy!

I ruszyli. Papuszkas to polatywał tuż pod nosem Darlana, to odskakiwał nieco dalej. Czasem wzbijał się wysoko w górę, by potem zanurkować do ziemi, czasem krążył wokół głowy człowieka niczym szczególnie wścibska i bezczelna mucha.

"To będzie zabawa - myślał. - Wreszcie skończyły się nudzi. Ale go nabrałem z tym kwiatem! Dobrze, że motyle podsłuchały jego myśli... No, niech no tylko spotka się z trollem... Ho, ho. Warto było się nudzić cały dzień na liściu, oj, warto...".

Uważnie słuchał opowieści Darlana, żeby potem móc ją jak najlepiej wykorzystać.

-Jestem błędnym rycerzem. Podróżuję po świecie w celach turystycznych, ale także po to, by spełniać różne dobre uczynki i zakochiwać się w pięknych księżniczkach. Niedaleko, w kraju Korn, mieszka przesliczna królewna Lucynda. Mówię ci, Papuszkasie, jest piękna! Cały czas kreci się wokół niej tłum książąt, królewiczów, cesarzy i padyszachów. A także

rycerzy nieco mniejszego kalibru, takich jak ja. Ale królewna jest wybredna, piękna, lecz kapryсна. Tego nie chce, tamtego nie lubi, ow zupełnie się nie nadaje. No i rozdziela zadania. Śmiałek, który je wypełni, może się starać o jej rękę. Ostatnio Lucynda zazyczyła sobie Czerwona Roze, magiczny kwiat przywracający młodość. Podobno rośnie on gdzieś w ukryciu, strzeżony przez potwory. Myślałem, że to gdzieś na krancu świata i że pilnują go jakieś dziwne monstra, jednookie cyklopy na przykład. A do tego krancu świata strasznie daleko - to trzeba przejść las, to podejść pod górę, to znow przejechać przez całe królestwo. I nagle proszę: Czerwona Roza znajduje się o tydzień drogi od stolicy, i to strzeżona przez jednego głupiego trolla.

-Głupi to on może jest - ostrzegł Papiuszkas. - Ale brzuch ma jak beczkowiec, żeby jak sztachety, a łapy jak szpadle. Uroda nie grzeszy i wykorzystuje to przed walką do ataku psychologicznego.

-Błędny rycerz - powiedział z dumą Darlan - nigdy nie cofa się przed niebezpieczeństwem... Co, niestety, prowadzi do gwałtownego zmniejszenia pogłowia moich kolegów po fachu. Daleko jeszcze?

-Blisko, za tą krzywą olchą - wyszeptał Papiuszkas niby to przerażonym głosem, choć w duchu zasmiewał się serdecznie.

W jednej chwili drzewa rozstały się. W nozdrza Darlana buchnął zapach zgnilego powietrza, jaki zawsze otacza legowiska trolli. Sam właściciel tego smietnika leżał przed wejściem do grotty. Maczuga oparł o skałę, wypiał brzuch i leniwie dłużył w zębów kawałkiem ulamanej kości. Kiedy usłyszał kroki człowieka, steknął, splunął i z trudem podniósł się z ziemi. Miał bambaryłowaty brzuch, ramiona zakończone wielkimi łapami i tepe jak trzonek noża spojrzenie.

-He, he - zarechotał. - Człowiek? Dawno tu takiego nie widziałem. Na obiad się przyszło, he, he? W charakterze dania, he, he?

Darlan się zawahał. Troll był wielki, a jego wyszczerbione zębiska wyglądały nader groźnie. Papiuszkas poczuł, że musi działać. Machnął swoją małą dłoń, chwytając lekki wietrzyk tańczący pomiędzy drzewami. Nie potrzebował całego, oderwał więc tylko jedno pasemko wiatru. Zmiał je w dłoń, chuchnął i pchnął w stronę jaskini. Czar powoli popłynął ku trollowi. Potwór coś wyniuchał. Kiedy zaklecie przelatowało koło jego głowy, pociągnął nosem, jednak nie zdołał namierzyć delikatnej woni elfowej magii. Czar wpłynął do jaskini i rozwinął się za plecami trolli w doskonałą iluzję. W migotliwej, kryształowej klatce pulsował żywa czerwienią Kwiat. Doskonale piękny i delikatny, wabił i przyzywał.

Darlan dostrzegł go. Nie wahał się dłużej. Wyciągając miecz z pochwy, runął na trolla z bojowym okrzykiem na ustach.

-No to będzie lupu-cupu! - powiedział stwor spokojnie, sięgając po maczuga.

-Oj, będzie - Darlan lupnął z całej siły mieczem. Troll zastawił się, aż człowiekowi zadrzęła reka. Potem sam wziął zamach i wałnął z całej siły, mierząc w głowę Darlana. Rycerz uskoczył zwinnie i maczuga zaryła w ziemi, wyrrywając kępy brunatnej trawy. Darlan trzepnął trolla w pochyloną głowę.

"Ale ubaw, nie ma co, świetnie to wymyślił!" - Papuszkas nie mógł wyjść z zachwytu nad własnym sprytem. Tymczasem troll i rycerz okładali się systematycznie i z dużym samozaparciem. Pokrzykiwali przy tym na siebie, używając słów, jakie doskonale zna każdy szanujący się troll, a jakich w żadnym wypadku nie powinien znać szanujący się rycerz. Ale Darlan z niejednego pieca chleb jadł i w czasie swych wędrówek nauczył się nawet ohydnych języków goblinów i szwindlaków. Walka trwałaby jeszcze długo - szybkość rycerza i siła potwora wyrównywały szanse. Darlan zrozumiał to i postanowił przystąpić do negocjacji:

-Oddaj mi piękną różę, potworze, a łaskawie daruję ci życie!

-Różę?! Piękną?! - tego ostatniego słowa troll najwyraźniej nie znał, bo ze zdziwienia zamarł w bezruchu.

-A masz! - Darlan uznał, że chwila słabości przeciwnika to ostateczny powód do zerwania negocjacji. Z całej siły zdzielił trolla mieczem przez łeb. Potwór ryknął rozpaczliwie, a potem zachwiał się i zwałił na ziemię. Darlan już biegł do jaskini.

-Róża! Czerwona Róża dla Lucyndy! Przyniosę ci ją, pani, ja, Darlan! Rycerz może niezbyt bogaty, ale mężny sercem i silny duchem! Ale będzie...

Urwał w połowie słowa, bo w chwili, gdy już dopadał klatki z cudownym kwiatem, Papuszkas zwolnił czar. Obraz róży zmetniał, a potem rozmył się i rozprysnął na tysiąc drobiny. Uwolniona struzka wiatru z radością powróciła do głównego strumienia, by swobodnie hasać po lesie. Kleczący Darlan usłyszał za plecami śmiech Papuszkasa.

-Ale głupol, ha, ha, ha, ale się dał nabrać, ha, ha, ha! Jak to było? Mężny ciałem i silny sercem? Ha, ha, ha! A inteligentny jak to, bez czego szewc chodzi!

-Och ty! - dłonie rycerza zacisnęły się w piasku. Darlan skoczył w stronę złośliwego elfa, ale nie miał szans, żeby go złapać. Papuszkas leciał tyłem, wciąż szczerząc się do wściekłego Darlana. Lecz nagle elf spostrzegł, że twarz rycerza zmienia się, a złość ustępuje miejsca strachowi. Równocześnie poczuł za plecami jakiś ruch i usłyszał głosne sapnięcie. W chwili potem uderzył w coś twardego i dużego. Zobaczył jeszcze wielką spadającą łapę, a potem ciemność okryła go swym brudnym kocem.

Elf Papuszkas powoli odzyskiwał przytomność. W głowie mu huczało, rozproszone myśli nie układały się w spójną całość, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest i co ostatnio robił. Otworzył oczy.

-No, jesteś z powrotem, maluchu - ogromny nochal i krzaczaste wasy to pierwsze, co zobaczył elf. Potem dostrzegł oczy: ciemne, błyszczące, dobre. Nagle przypomniał sobie wszystko i poczuł ogromny wstyd. Spróbował wpełznąć pod liść, którym przykrył go Darlan.

-No, no, już w porządku - rycerz zsunął liść palcem. - Za mało mu dołożyłem za pierwszym razem i jeszcze się podniósł. Ale poprawiłem, a jakże, raz i drugi, tak że aż piszczał ze strachu. Obiecał, że wyniesie się w trzy minuty, tylko prosił o trochę czasu na spakowanie kufra. Dałem czas, pomogłem się pakować i hajda, wysłałem za siedem godzin. Już tu nie wróci.

-Oszukałem cię - wymamrotał Papuszkas, czując, jak czerwienią mu się mocno przeciw opalone policzki. - Wiesz, ten kwiat...

-Wiem - spokojnie powiedział Darlan. - Iluzja, złuda... Wiesz... Nie jestem na cię zły. Chciałeś się mną zabawić, a pomogłem ci, naprawdę.

Papuszkas zrobił madralowatą minę, choć jego oczy mówiły: "Nie rozumiem".

-Pojąłem, że ten mój poscig za różą to właśnie jest fantazja, iluzja, czar. Przecież Lucynda to królewna. Musi pokochać królewnicę, no, choćby księcia. Ewentualnie szewczyka. Nigdy biednego rycerza.

-Więc już się na mnie nie gniewasz? - spytał Papuszkas cichym głosem.

-Nie - Darlan podkreślił wasy. - No, może trochę. Zresztą, po co mam znajdować Czerwoną Różę? Wtedy musiałbym odnieść kwiat do Korn. Królewna przyjąłaby ode mnie podarunek i postawiła obok setek innych prezentów, jakie dostaje od zalotników. A ja, co miałbym wtedy robić, jaki miałbym cel? Wiesz, czasem samo szukanie jest znacznie ważniejsze niż znalezienie, a poscig za tajemnicą bardziej ekscytujący niż jej odkrycie. Rozumiesz?

-Rozumiem - przytaknął Papuszkas bez przekonania.

Nieco później rycerz Darlan wyruszył w dalszą drogę. Nim jego sylwetka całkiem zniknęła w zielonym trawiastym gąszczu, Papuszkas przywołał swoje motyle.

"Słuchamy cię, paniczku" - zaszumiały.

-Polećcie za nim i nakarmcie jego duszę radosnymi myślami, bo warto. I tchnijcie w jego uszy trochę muzyki. Inaczej przepłoszy wszystkie stworzenia w naszym lesie!

Kiedy ci kazał żyć bezpiecznie,

W pas się klaniać raz po raz,

To na szlaki ruszaj lesne,

Drogi szukaj w swietle gwiazd!

Gdy juz masz bambosze w ciapki,

A dom otoczony murem,

Pakuj, bracie, swe manatki,

Zmykaj, hen, za siodma gore!

BITWA W DOLINIE KURZYMISIOW

Rycerz Darlan jechal spokojnie po gorskiej drodze oswietlanej jasnymi promieniami slonca. U jego boku pobrzekiwal miecz, do siodla przytroczona byla tarcza i sajdak z lukiem, w sakwach - zapas zywnosci. Jezdziec nie mial sie wiec czym przejmowac, chyba tylko tym, ze brakuje mu przygod. Darlan byl bowiem blednym rycerzem, podrozujacym w poszukiwaniu slawy i dobrych uczynkow do spelnienia (szczerze mowiac, wolal slawe niz spelnianie dobrych uczynkow, a najchetniej to polaczylby jedno z drugim). Jednak od dluzszego czasu nic ciekawego mu sie nie przydarzylo - jechal wszak przez kraine rządzona przez madrego krola Deboroga. Ludzie zyli tu dostatnio, trolli nie bylo, rusalki bez zadnych kopotow mogly tanczyc przy lesnych strumieniach. Darlanowi nawet sie podobalo to, ze wszedzie witaja go usmiechnieci ludzie, a na polach zolci sie zboze nietkniete przez rozbojnikow i potwory. Ale - jak rzeklismy - Darlan ruszyl w swiat, poszukujac przygod, i spokoj wkrótce zaczal go nudzic. Jakis czas temu skrecil wiec ku gorom ciagnacym sie wzdluz wschodniej granicy Deborogowych wlosci. Tam bowiem, wedle opowiesci, wciaz mieszkaly dziwne, a czesto i zle stworzenia. W ostatniej osadzie na podgorzu Darlan uzupelnil zapasy, dokupil strzal do luku, nakarmil biegacza najprzedniejszymi sliwkami (bo biegacze niezwykle lubia sliwki), a potem ruszyl na wschod. Juz drugi dzien wlokl sie starym traktem, ktorym ponoc kiedyś jeździli kupcy. A ze monotonna droga znuzyla go nieco, zaczal sobie podspiewywac:

Lepsza droga od pierzyny.

Od widelca lepszy miecz,

Lepszy smiech od smutnej miny,

A od braku rzeczy - rzecz!

Lepiej smiac sie, niz narzekac,

Lepsze gruszki dwie niz jedna,

Od grabarza lepszy piekarz,

Od księżniczki zas - królewna!

Lepiej wygrać, niżli przegrać,

Lepiej śpiewać, niżli chrapać,

Grać na flecie niż na nerwach,

Złapać - niżli dać się złapać!

-I czego wyje, no czego? - ochryply i mocny głos zadudnił między drzewami, płosząc ptaki i Darlanowego biegacza. Wierzchołek parsknął przestraszony, lypnął na swego właściciela zdziwionym wzrokiem. Darlan uspokoił biegacza, wyciągnął miecz i z uwagą wpatrywał się w zarośla.

-A po co mu żelazko? - znowu zadudniło, ale w głosie jakby pobrzmiwał strach. - Bez żelazki nie może, co?

-Może - powiedział Darlan, uspokajając się. - Wylaz!

-A żelazki na pewno nie wyjmiesz, co? - upewnił się dudniący głos.

-Jak będziesz grzeczny, to nie.

-No to wyjdź.

Krzaki zaszleściły, Darlan omal nie parsknął śmiechem. Oczekiwał lesnego olbrzymia albo niedzwiedzioczekła, i ogromnego wzrostu i tuszy. Tymczasem zza krzaków wylazł gnom sięgający rycerzowi ledwie do pasa. Ubrany był w stary, ale starannie pocerowany i pozszywany kaftan za kolana, słomiane buty i zieloną czapkę opadająca na oczy. Miał też pomalowana na zielono i pozaplatana w warkoczyki broda.

-Czego się śmiejesz? - fuknął gniewnie. - Co ja, cudak

-Przepraszam, przepraszam - opanował się rycerz. - Nazywam się Darlan. Poszukuję przygód.

-Przygód? Ha! - zdumiał się gnom. - A po co to przygód szukać? Malo to ich samych do człowieka co dzień przychodzi? A to deszcz zboże wytlucze, a to niedziedz miod z barci wyzre, a to się z koleżkami polityczna kłótnia nawinie. Malo to?!

-Grzeczniej, moją panią, byłoby się przedstawić, a nie rad udzielać - zwrócił mu uwagę Darlan.

-Eee... - stropił się gnom. - Eee... jestem Meczydusz, gnom lesny. A niegrzeczny jestem zawsze, bo... - zawiesił głos, szukając odpowiedniego określenia - mam trudny charakter. I już się nie zmienia, bo jestem za stary.

-I zawsze mówisz tak głośno? - spytał Darlan.

-Eee... tego... tak naprawdę to wszystko przez ten głos. Jak z kim zaczął rozmawiać, to on od razu myśli, że na niego krzyczy i że jestem źle wychowany. Nawet jak się kiedyś starałem być miły i słodki - tu złożył wargi w dzióbek - taki tui, tui, tui, elegancik, to i tak wszyscy myśleli, że na nich wrzeszcze. W końcu przestałem się przejmować i teraz krzyczy od razu.

-Gdybys jednak mógł mówić trochę ciszej - poprosił Darlan uprzejmie - to byłbym wdzięczny, bo płoszy mojego biegacza.

-Czemu nie, czemu nie - gnom pokiwał głową. - A dokąd jedziesz, rycerzu?

-Nie mam celu podróży. Szukam potworów do zabicia, pięknych pań do uwolnienia i świętych mieczy do odnalezienia. A w wolnych chwilach uprawiam turystykę zagraniczną.

-I naprawdę jesteś odważny, prawy, gotów do poświęceń i nie za bardzo chciwy?

-Co to znaczy: chciwy?! - obruszył się Darlan. - Czybys nie wiedział, że my, błędni rycerze, robimy wszystko dla sławy oraz dla symbolicznej opłaty ustalonej w wyniku negocjacji?

-Słyszałem, słyszałem - pokiwał głową gnom. - Ale nie zaszkodzi się upewnić, prawda?

-A czemu cię nagle zaczęły obchodzić moje dobre uczynki?

-Eee... bo widzisz, rycerzu, miałbym ja dla ciebie robotę. Taką, jaką lubisz: niebezpieczną i ciekawą. Aha, no i prawie bez żadnego honorarium. Masz chęć?

-Ja? - oczy Darlana zaszły. Spojrzył na swojego biegacza. Dzielny rumak zdecydowanie pokreślił głową i zastrzygł uszami. - Ja bym chciał, ale mój biegacz boi się twojego głosu...

-Mojego głosu?! - ryknął zaskoczony gnom, znowu wzbudzając trwogę w sercu biednego biegacza. - Eee... to ja zaraz... - sięgnął za pazuchę, wyjął jakąś brązową, brązową bryłkę. Podszedł do wierzchołka. Zwierze kwiknęło, gdy chwycił je za ucho. Nagle coś poczuło. Wyciągnęło pysk, obwąchując Meczydusza, po czym z jego otwartej dłoni ściągnęło brązową bryłkę.

-To miód lesny - powiedział szeptem gnom, gładząc jedwabiste futro na pysku biegacza. - To co, już my przyjaciele?

Biegacz pokiwał głową, oblizując się radośnie.

-No, to idziemy - zdecydował Darlan.

-Równiny to równiny, a góry to góry - powiedział gnom. - Tam ciepło, tu zimno. Tam ziemia urodzajna, tu góły szczyty. Tam spokój, tu pełno złych stworzeń. Ludzie do nas rzadko zagląдают, bo i po co mają tu przychodzić. A powinni uważać, bo już niedługo w podgórskich jaskiniach coś złego się wylegnie. Słowo gnoma!

-Opowiadaj wreszcie, jakie to zadanie - przerwał te wywody zaciekawiony w najwyższym stopniu Darlan.

-Więc tak - gnom podrapał się w głowę, rozważając, od czego zacząć opowieść. - W jednej z górskich dolin stoi osada kurzymisiów. To stare plemię, ale bardzo dziś nieliczne. Żyją w małych osiedlach, zwykle w bliskiej okolicy swych starych miast. Bo kiedyś, przed Wojną Gór, kurzymisie zamieszkiwały całe krainy. A nie wiesz ty, rycerzu, co to były za straszne wojny! Wszak góry wtedy przemieniły się w olbrzymów, by walczyć ze sobą. Coż wobec nich znaczyli ludzie, gnomy czy też kurzymisie! Podgórskie miasta popadły w ruinę, mieszkańcy zniknęli. Tylko gdzieś tam ocalały małe grupy kurzymisiów. W naszych górach, pół dnia drogi stąd - nie na trakcie, ale głęboko w górach - leży ich wioska. Przyjdźcie do nich i handlujcie. Dostarczam im lesne owoce, grzyby, zioła, a one dają mi miód. Bo trzeba ci wiedzieć, że kurzymisie jedzą głównie miód, a piją tylko soki owocowe i pszczele mleczko. Nasze życie toczyło się pięknie - ale wszystko ma swój kres. Będzie za trzy lata, jak w okolicy pojawiła się para zlysepów.

-Ohyda - mruknął Darlan, który kiedyś widział zlysepa: paskudne, lyse ptaszysko z bloniastymi skrzydłami, krzywym dziobem i łapami podobnymi do ludzkich dłoni.

-A jakże, ohyda - gnom splunął przez ramię. - Nie dość na tym. Zlysepy zbudowały gniazdo, i to na skale tak wysokiej, że nikt się tam nie wejdzie. Złożyły jaja i odleciały, jak to mają w zwyczaju, wyrodni rodzice. Przez pół roku nic się nie działo, aż nagle drzewa w lesie zaczęły umierać. Ktoś zdierał im kory i dziurawił pnie. A potem zaczęliśmy znajdować poranione, schwytane w sidła i nieżywe zwierzęta. I wtedy się domyśliśmy. Z jaj zlysepów wykluły się szwindlaki. Okrutne, przebiegłe i coraz silniejsze... Jest ich wiele - może piętnaście, może dwadzieścia. Tydzień temu jeden pojawił się na obrzeżu wioski kurzymisiów. Najpierw wszystkim zwiadył, a potem zagroził, że szwindlaki za miesiąc przyjdą do wioski, a ich szef zostanie królem. I że kurzymisie mają uznać ich władzę, bo inaczej będzie źle. Tak dokładnie powiedział: "Będzie źle!".

-To bandyta - Darlan zacisnął pięść. - Już ja mu...

-Kurzymisie - opowiadał dalej gnom - same się nie obronią. Wysłały więc mnie do was, do ludzi, żebyście mi pomogli. Ale kto was tam wie, ludzie, co zrobicie? Kurzymisie trochę się was boją, bo pamiętają czasy po Wojnie Gór, kiedy to nie byliście dla nich zbyt mili.

-Nie byłem, nie widziałem - zaprotestował Darlan. - Ja pomogę kurzymisiom. Wspólnie załatwimy te paskudne szwindlaki!

Miasteczko kurzymisiów leżało w pięknej kotlinie. Od zachodu i północy otaczały je skalne stoki, od wschodu i południa gęsty las. Zachodnia ściana przykrywał kilim wodospadu - woda spływająca z wyższych partii gór szumiała i perlila się na skalnych załamach. Cała dolina przecinał powstały z wodospadu strumyk, przez który przerzucono dwie kładki. Darlan od razu zwrócił na nie uwagę. Jeden mostek zbudowano niedawno z sosnowych, okorowanych bali. Za to drugi musiał być bardzo stary. Stary, ale solidny. Kamiennymi przesłami mocno wczepił się w brzegi strumienia, wyłożono go granitowymi płytami, ozdobiono licznymi płaskorzeźbami. Wszystko to było zniszczone, spekane, porośnięte mchem, ale świadczyło o wielkim kamieniarskim kunszcie kurzymisiowych przodków.

Podobne wrażenie wywarła na Darlanie sama wioska. Drewniane domki o słomianych dachach stały tam obok wyszczerbionych i zniszczonych kamiennych pałaców, gdzieś tam widac było porośnięte chaszczami ruiny. Na spotkanie z przybyszami wylegli chyba wszyscy mieszkańcy osady. Darlan z ciekawością przyglądał się kurzymisiom. Czytał kiedyś o tym narodzie w starej księdze, ale jego żywych przedstawicieli widział po raz pierwszy. Kurzymisie były niskie, pekaty, o włosach poupinanych w najdziwniejsze fryzury i krótkim, połyskliwym futerku porastającym całe ciało. Wszyscy - kobiety i mężczyźni nosili długie fartuchy. Wiek kurzymisia rozpoznawało się (jak wcześniej poinformował Darlana gnom) po liczbie medali przypiętych do piersi. Medale przyznawala Rada Kurzymisiów Starszych i w Średnim Wiekach, która zbierała się raz na pół roku, by rozsądzać spory i nagradzać dobre uczynki. Kurzymisie uwielbiały wreczać sobie medale - a to za największego pstrąga złapanego w strumieniu, a to za osiągnięcia w tresurze pszczoł albo za najdłuższy zjazd saneczkowy (saneczkarstwo uprawiali pasjami).

Przybyszów otaczała coraz większa cizba, w końcu gnom nie wytrzymał i huknął swoim grubym głosem:

-Z drogi! Idziemy do Najstarszego Wujki Kurzymisiów! Z drogi! Oto prowadzę wam obronę, dzielnego i szlachetnego, sławnego i skromnego, bogatego duchem i biednego mamona, pogromcę smoków i nietoperzy! Prawdziwego rycerza!

Tłumek się rozstąpił, ale gwar podniósł się jeszcze większy.

Wielki Wuj (tytuł honorowy - wytłumaczył gnom - przyznawany za mądrość, doświadczenie i liczbę medali) czekał przy stojącej w środku osady studni. Był mały, tłuściutki, nosił wielkie okulary, a włosy na głowie sterczały mu na wszystkie strony. Jednak musiał być bardzo dostojny, bo obok niego stał młody kurzymis dzwigający ogromną plachtę, do której przyszyto wszystkie medale Wujki.

-Witam cię, przybyszu... - powiedział Wuj, zawieszając głos.

-Darlanie - uzupełnił rycerz, zeskakując z biegacza. - Witaj, czcigodny Wuju!

-Czy naprawdę chcesz nas bronić przed paskudnymi szwindlakami?

-Bronić? Ja? Na pewno nie - powiedział Darlan. Jek zawodu przepłynął przez tłum, a gnom spojrzal na rycerza zdziwionym wzrokiem. - Nie bronić! Ja zamierzam atakować!

-Hurra! Hurra! - zakrzyknęli zgromadzeni. Zafrasowana twarz Wuja rozpogodziła się, a gnom odetchnął z ulgą.

-Słuchajcie, kurzymisie, słuchajcie! - zawołał Wuj. - To niezwykle pomyslna nowina! Dlatego wieczorem odbedzie się uczta z tancami!

-Hurra! - znowu podniósł się wrzask, ale Wuj zgasił go jednym gestem ręki. - Naszemu przyjacielowi Meczyduszowi za sprowadzenie tak wspaniałego gościa przyznajemy medal. A rycerzowi drugi. To na dobry początek. No, młodzieży, szykować stoly! Ma być mnóstwo miodu, soków i jagód!

Pierwsze spotkanie ze szwindlakiem nastąpiło już nazajutrz.

Darlan wybrał się na obchód okolicy. Chciał zobaczyć jagodowe pola kurzymisiów, sprawdzić ścieżki, przyjrzeć się lasowi. Szybko też natrafił na efekty działalności szwindlaków. Na korze drzew powycinano dziwne rysunki i napisy, z ziemi sterczały suche kikuty zatrutych krzewów, a w wielu miejscach trawa była martwa i biała. Darlan w milczeniu obserwował te znaki, a zmysły podpowiadały mu, że to nie jedyne ślady potworów. Las był dziwnie cichy, jakby drzewa bały się szumieć w normalnym rytmie, a ptaki śpiewać. Zwierzęta, które zauważył - wiewiórka, jeź, mały lis - wcale przed nim nie umykały. Jakby czuły, że w jego, człowieka, obecności są bezpieczniejsze.

"Do stu powodzi! - Darlan podrapał się w brode. - A więc gnom nie przesadzał. Mamy do czynienia ze spora banda".

-Będzie źle! Będzie źle! - usłyszał za sobą przeraźliwy chichot. Odruchowo skoczył w bok. Dobrze zrobił, bo potężny kamień przemknął tuż koło jego głowy. Darlan wyciągnął miecz. Naprzeciwko niego stał szwindlak. Był to przeciętny okaz - ani szczególnie duży, ani szczególnie paskudny. Z beczkowatego tułowia wyrastała głowa pokryta czarną szczecina. Purchłowaty nos przysłaniał nieco gębę, ale i tak widac było, że szwindlakowi brakuje połowy zębów. Miał cztery rece, pokryte łuską brzuch i włochate nogi zakończone chwytymi stopami.

-Jestem szwindlak - powiedział stwor niespodziewanie grzecznie. Lecz zaraz dodał: - Głodny szwindlak!

-A ja jestem Darlan! - powiedział rycerz. - I też jestem głodny.

-Ha - szwindlak poklepał się po brzuchu. - Ale ja ciebie zjem, a ty mnie nawet nie tkniesz.

-A to czemu? - zdziwił się rycerz.

-Bo się nie mylę od sześciu miesięcy! To znaczy od urodzenia - stworz najwyraźniej się ucieszył, przypomniał sobie ten miły fakt. - Czy chciałbyś zjeść brudnego szwindlaka?

-A był kiedykolwiek czysty szwindlak? - Darlan pokręcił głową z powątpiewaniem.

-Złoty - potwierdził potwór. - Ale krótko. Byśmy go zjedli, he, he... No dobra, dość tych pogaduszek. Wolisz, żeby ci upiekł czy ugotował?

-Zdziwisz się, chłopie - powiedział Darlan i błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej mały, obły przedmiot i cisnął w zbliżającego się potwora. Trafiał. Szwindlak zamarł w bezruchu, a potem krzyknął rozpaczliwie i... zniknął. Tylko przez chwilę w powietrzu unosiła się chmura ciemnego pyłu.

-Działa - szepnął Darlan, ucieszony, ale i zdziwiony. Podniósł z ziemi swój pocisk. - Proszę bardzo, działa!

Tego samego wieczora Darlan spacerował w towarzystwie gнома i Wujka (oraz kurzymisia noszącego medale Wujka).

-To bardzo kosztowny magiczny przedmiot - tłumaczył rycerz. - Niewielu alchemików i czarodziejów umie takie sporządzać. Powiem wam w tajemnicy, jak się nazywa. Ale na wypadek działalności wrogich agentów będziemy na niego mówić "MiM".

-"MiM"? - zdziwił się Wuj. - Coż to za nazwa dla potężnego czarodziejskiego przedmiotu? Magiczny przedmiot powinien się nazywać... Diademem Karmazynowego Smoka albo Włocznia Thana Etana, albo choćby Pumpy Przyzwania. Ale MiM? A coż to znaczy?

Darlan pochylił się, tak że jego usta znalazły się tuż obok twarzy gнома i kurzymisia. Szepnął:

-Magiczne Mydło! Wynalezione przez słynnego alchemika Marcynakusa. Likwiduje wiele rodzajów złych istot.

-Ale jak to działa? - zaciekawił się gnom.

-Nikt nie wie, jak to działa, bo Marcynakus tajemnice produkcji zabrał w zaswiaty. Chodzi chyba o chemię, wiecie: kwasy, zasady, brak zasad... MiM oczyszcza dusze z brudu. A ponieważ dusze szwindlaków składają się wyłącznie z kurzu, pleśni i śladów tłuszczu, to po wyczyszczeniu nie zostaje nic. Szwindlak znika.

-Bardzo zajmujące, bardzo... - pokiwał głową Wuj. - Czy jednak wyobrazasz sobie, co się

stanie, gdy do naszej wioski przyjdzie dwadzieścia szwindlaków? Trafisz tym pociskiem jednego czy dwa, a reszta zburzy nasze domy, a nas wytarza w musztardzie i zakuje w dyby. Ciebie z reszta też.

-Po pierwsze, nie mów "pociskiem", tylko "MiMemem" - poprawił go rycerz. - A po drugie, nie desperuj. Coś się wymyśli.

-Właśnie - powiedział gnom, w zadumie drapiąc się po czuprynie.

Drugie spotkanie ze szwindlakami nie zakończyło się tak dobrze jak pierwsze. Co więcej, można śmiało powiedzieć, że także gorzej się zaczęło.

-Trzymam! - coś krzyknęło nad uchem Darlana. Jednocześnie rycerz poczuł, jak wielkie łapsko chwyta go za głowę i podnosi z ziemi.

To "coś" okazało się całkiem dojrzałym szwindlakiem. Twarz rycerza znalazła się naprzeciw pryszczatego pyska potwora. Szwindlak miał brudną, pociętą szramami gębę, porozbijane wargi, a jego brudne zęby przypominały wyszczerbiony, kamienny plot. Po chwili Darlan usłyszał posapywanie i z krzaków wylazły dwa inne szwindlaki.

-Jakis nowy cwaniaczek - zaslurgotał ten, który ucałował rycerza. Potrząsnął łapą, mając biednym Darlanem na wszystkie strony. - Coś ty za jeden?

-Ry... ycerz - zdolał wyjeździć Darlan.

-Ryyycerz - nerwowo zachichotał drugi szwindlak. - Znam ja ich, rycerzy. Nie ma z nich żadnego pożytku. Nie rabują biednych, nie palą wiosek i nie jedzą małych dzieci!

-Tfu! - podsumował drugi szwindlak.

-A czemu to to lazi w blaszanym kubraku? - spytał trzeci, stukając paluchem w Darlanową zbroję.

-Przeciw wrogom - wyjaśnił bywały szwindlak, dumny, że wie więcej od kompanów. - Trudniej go zjeść, więc nawet po przegranej walce ma czas na kombinowanie i obmyślanie ucieczki. Ale ja nie dam mu tej szansy. Na wszelki wypadek odgryzę mu głowę.

-Lubie ja - Darlan włączył się do pogawędki. - Jestem z nią nierozdzielnie związany. Może podyskutujemy o różnicach w naszych poglądach?

-Dyku... co? O wielbładach? - nie dosłyszały szwindlaki. W tym samym momencie Darlan wierzgnął nogami, trafiając swego dreczyciela w sam czubek płaskiego nosa. Szwindlak ryknął z bólu. Chwycił się za nochał, puszczałając Darlana. Rycerz tylko na to czekał. W trzech susach wskoczył między drzewa. Biegł przed siebie, nie zważając na galezie bolesnie tłukące go po twarzy, wsłuchany jedynie w głosy nawołujących się szwindlaków. W

koncu jednak stwory stracily trop - ich okrzyki zaczely sie oddalac. Lecz Darlan nie zwolnil. Biegł ile sil w nogach, dopoki nie zobaczył pierwszego mostka w kurzymisiowej dolinie.

-Nie sprostamy im w walce wrecz - ponuro oswiadczył Wuj - skoro nawet ty, szlachetny rycerzu, podales tyly, ze tak powiem.

Siedzieli w malym pokoiku w domu Wuja. Był to stary budynek, postawiony jeszcze przed Wojna Gor. Kamienne sciany byly szare i chlodne, na polkach staly pieknie malowane kubki na miód, a w jednym z katow - zdobiony kufer.

-Mamy przeciez... - gnom staral sie szeptac, co niespecjalnie mu wychodzilo. Rozejrzal sie wokół, jakby chcial sprawdzic, czy w izbie nie ma nikogo podejrzanego - Mamy nasza bron: MiM.

-Jedna sztuke - glos Wuja stal sie bardzo ponury. - To za malo.

-A gdyby tak - oczy gnoma zalasnily - zastosowac manewr okrazajacy?

-Bez watpienia to wlasnie trzeba bedzie zrobic - powiedzial Darlan. - To prawda, ze mamy tylko jedno MiM. Ale jest sposob na to, by rozmnozyc jego magiczna moc.

-Jaki?! - krzykneli jednoczesnie Wuj i gnom. Dwa garnki spadly z wieszacej na scianie poleczki i roztrzaskaly sie na podlodze. Wuj spojrzal groznie na Meczydusza.

-Przestaniesz ty wrzeszczec, gnomie? Dom mi zdemolujesz!

-Zaraz posprzatom... zaraz posprzatom... - Meczydusz poderwal sie od stolu, zeby pozbierac skorupy. Niestety, w pospiechu potracil blat. Stojacy przed Wujem kubek przewrocil sie i mleko chlusnelo na czcigodnego starca. Gnom zaczerwienil sie, usilowal wybelkotac jakies przeprosiny, w koncu wyciagnal z kieszeni chustke do nosa i zaczal nia szorowac blat stolu. Kiedy chcial zetrzec mleko z koszuli Wuja, ten niespodziewanie spokojnie odwrocil sie do Darlana i powiedzial:

-Rycerzu, zanim zaczniesz chronic nas przed szwindlakami, czy moglbys ochronic mnie przed tym niezgrabiaszem? A chustki do nosa - zwrocil sie do gnoma - pierze sie przynajmniej raz do roku.

-Czy moglbym cos jeszcze powiedziec? - spytal Darlan, gdy Meczydusz juz wytarl blat i pozbieral skorupy.

-Alez oczywiscie, czcigodny rycerzu - Wuj na powrot stal sie najbardziej opanowanym kurzymisiem na swiecie.

-Jest sposob na pokonanie szwindlakow. Musimy obwarowac wioske. Zastawic sprytne pulapki. Nauczyc najsilniejszych kurzymisiow poslugiwania sie bronia. Ale przede wszystkim

przygotować jak najwięcej szczelnych bali. Potrzebuje też kilkadziesiąt słomek.

Przygotowania do obrony rozpoczęły się rano następnego dnia. Kurzymiś przystąpili do kopania dołu, który miał całą kotlinkę odciąć od świata. Wielki Wuj wyprawił się do lasu, by pogadać z opiekunczymi duszkami i ustalić, które drzewa można ścinać na palisadę. Powrócił szybko, przynosząc nowe straszne wiadomości. Mieszkańcy lasu byli przerażeni tym, co szwindlacy wyczyniają w lesie. Wiele drzew umarło i po lesie blaknęło mnóstwo bezdomnych duszków. Nie było więc łatwo wytargować od Kongresu Duszków i Rusalek zgodę na ściecie jeszcze kilkunastu pni. Kiedy jednak kurzymiś opisały, po co im drewno, Kongres wydał odpowiednie zezwolenia (na piśmie, w sześciu egzemplarzach opatrzonych mnóstwem podpisów i pieczęci). Ustalono też, że duszki zamieszkujące wyznaczone do wyrebu drzewa przeniosą się do budowanego właśnie ostrokołu po to, by wzmocnić go swoją magią. To było prawdziwe poświęcenie. Lesne duszki mieszkają w żywych drzewach, kazać im zająć martwy pień, to tak jakby umieścić człowieka w ciemnej i wilgotnej piwnicy. Jednak Kongres uznał, że szwindlacy stanowią prawdziwe zagrożenie dla puszczy. Tak więc najpotężniejsze drzewa i najsilniejsze duszki (tak silne, że niektórzy mówili na nie po prostu "duchy"!) miały stanąć na straży doliny kurzymiś. Kiedy drwale rabali drzewa, także wewnątrz palisady trwała gorączkowa praca. Za rowem i częstokolem zbudowano cały tor przeszkód dla szwindlaków. Czego tam nie było - wilcze doły, ploty najeżone sekami, ule z tresowanymi pszczołami, pokrzywowe pola. Wszystkie pułapki miały powstrzymać stado szarżujących szwindlaków i dać obrońcom czas na zastosowanie broni MiM. Pomiedzy zaporami ustawiono piętnaście drewnianych ambon - tak wysokich, że nawet Darlan musiał się na nie wspinać po drabinie. Na tych pomostach mieli czuwać wojownicy kurzymiś - kurzymandosi. Selekcję przeprowadził sam Darlan. Na wieczór zwołał wielkie zebranie, aby wybrać piętnaście smiałków, od których zależeć miał los kurzymiś i okolicznego lasu. W czasie zebrania nie obyło się jednak bez wielkiej awantury.

-To ostatni spokojny wieczór - zaczął swoją przemowę Darlan.

Zmierzchało, Słońce czerwonym kregiem kryło się za drzewami, kładąc na las, skały i domy purpurową koldrę snu. W dali pluskał rwący potok, nawet drzewa znowu zaczęły szumieć, a ptaki cicho śpiewać. Gdyby nie czarne cienie wież i ciemna krecha palisady przegradzającej na pol dołynie, gdyby nie skupione twarze otaczających rycerza kurzymiś, gdyby nie gniewne fukanie uzbrojonego po zęby Meczydusza - można by pomyśleć, że oto nadchodzi kolejny, spokojny lesny wieczór, że kurzymiś po prostu zbierają się na zwykłą miodowo-jagodową ucztę. Ale tak nie było.

Wszyscy mieszkańcy osady, z wyjątkiem pełniących straż wartowników, zebrali się wokół Darlana. Obok rycerza stał Wielki Wuj i dzwigacz jego medali, za nimi gnom Meczydusz. Rozpalono ognisko. Żółte płomienie odbijały się w zbroi rycerza, blask pelgał po jego kolczudze, hełmie i mieczu. Darlan podkreślił wasa i powiedział:

-Jutro szwindlacy zaatakują. Wszyscy musimy stanąć do walki. Plan jest prosty. Pozwolimy szwindlakom wdrzeć się na ostrokoł. Następnie zwiążemy je walką na torze

przeszkod, pomiedzy wiezami, tak by nie mogly szybko sie wycofac. A wtedy wszystko zalezec bedzie od kurzymandosow czuwajacych na wiezach.

-Bedziemy dzielni - z tlumu wystapil Jerzdna, najsilniejszy kurzymis w wiosce, ktory na dodatek swietnie gral w pilke nozna. - Powiedz tylko, co mamy robic? Czy mamy z tych wiez przeprowadzic na glowy szwindlakow desant na spadochronach?

-Na spado... - Darlan az zaniemowil z wzruszenia. - Nie, Jerzdno, nie. Akurat ciebie potrzebuje na dole. Najpierw, zebys wniosl na kazda wieze balie i napelnil ja woda. A w czasie bitwy, abys poprowadzil obroncow. Na wiezach stana wasi najlepsi spiewacy.

Kurzymisie zaszemraly.

-Balie? Spiewacy? Coz to za pomysly?! - podnosily sie coraz glosniejsze glosy. - Co ty, rycerzu? W glowie ci sie poplatalo?!

-Cisza! - niespodziewanie krzyknal Wielki Wuj. - Cisza! Wstydziecie sie, kurzymisie, wstydziecie! Ten oto rycerz, choc nie ma zbyt wielu medali, opracowal plan ratunku. A wy tak mu sie odplacacie?!

-Wybacz, Wielki Wuju - w imieniu kurzymisiow przemowil Jerzdna. - Ale ty wiesz przeciez, ze w naszym zespole reprezentacyjnym, choc pieknie spiewa, zebrali sie sami slabeusze. Spojrz na nich, rycerzu!

Z tlumu wychodzili czlonkowie miasteczkowego choru, kilkanascie kurzymisiow, rzeczywiscie raczej niewielkiego wzrostu.

-To maja byc kurzymandosy?! - spytal Jerzdna.

-Dobrze mowi! - dodal ktos z tlumu. - Moze juz sie lepiej tym szwindlakom poddac. Domow nam nie zburza, pol nie zadcpcza, pszczol nie wystrasza, bo gdzie by mieszkali i co jedli? A teraz co? Bitwa, zniszczenie, a i tak dadza nam lupnia!

Wielki Wuj az zatrzasl sie ze zlosci.

-Och wy, zakalo kurzymisiowego rodu, tchorzliwsi od zajecy i glupsi niz kurczaki (z calym szacunkiem dla kurczakow)! Wstydziecie sie za was. Poddacie sie?! Ohydny i zlym szwindlakom?! Zeby wami rzadzily? Zeby zajeli wasze domy?

-Lepiej miec wspollokatora, niz stracic dach nad glowa - zaprotestowal ktorys kurzymis, Darlan wyraznie uslyszal, ze czesc zebranych pomrukuje na znak, ze sie z nim zgadza.

-Nigdy! - krzyknal Wielki Wuj. Kiwnal na swego mlodego pomocnika, ktory pomachal plachta i podzwieczal medalami, dajac wszystkim do zrozumienia, ze Wuj jest bardzo zly.

-Tam, na gorze - Wuj odwrocil sie, wskazujac skalna sciane czarniejaca za jego plecami - stoi Dom Bramy Przodkow. Kazdy z was byl tam wielokrotnie. Na scianach wymalowane sa obrazy przedstawiajace Kraine Wielkich Jagod. Kiedy stary kurzymis czuje, ze zbliza sie jego czas, idzie do tego domu. Odprowadzamy go pod drzwi, spiewajac wesole piosenki. On wchodzi do srodka, a my po chwili za nim. Lecz jego juz tam nie ma, bo szcieszliwie przeniosl sie do Krainy Wielkich Jagod. Jego wizerunek pojawia sie na jednej ze scian. Przeciez wiecie o tym. To ostatni Dom Bramy Przodkow po tej stronie gor. To do nas przybywaja samotne kurzymisie, zyjace w dalekich krainach. I co, chcecie oddac to miejsce w lapy szwindlakow? Pozwolic, by ich plugawe cielska i czary panoszyly sie w naszej swiatyni?! Wasi dziadowie i ojcowie patrzy na wasze czyny, sluchaja waszych slow. To oni wybudowali domy, w ktorych mieszkacie, oswoili roje pszczol, ktore daja wam miód, ukladli piosenki, ktore spiewacie przy ogniskach. Ja, Wielki Wuj kurzymisiow, straznik ostatniej Bramy Przodkow, bede jej bronil do ostatka. Chocbym mial zostac sam!

-Nie bedziesz sam - powiedzial Darlan, uderzajac sie w piers zacisnieta piescia.

-Ho, ho, na pewno nie - huknal gnom Meczydusz, stajac po drugiej stronie Wuja. Zapadla cisza.

-Wybacz, czcigodny - Jerzdna pochylil glowe. - Wybacz, ze sie zawahalem. Jestem ci posluszny. I tobie, szlachetny Darlanie. Ty tez wybacz i powiedz, co mamy robic.

-Niech spiewacy wejda na wieze - Darlan postanowil zakonczyc te narade. - Kobiety niech grzeja wode i szykuja slomki, A ty, dzielny Jerzdno, szykuj swoich zolnierzy. Na jutro rano potrzeba nam bardzo wielu odwaznych kurzymisiow.

Rano wszystko bylo gotowe. Zmeczeni obroncy czekali. Jeszcze przed switem lesne duszki wyslaly do miasteczka cme pocztowa. Liczna grupa szwindlakow (dokladna liczba nie byla znana, bo duszki lesne, choc madre i znajace magie, umieja liczyc tylko do siedmiu i pol) zmierzala ku kotlinie, lamiac i niszczac wszystko po drodze. Wkrotce broniace palisady duszki uslyszaly trwozna piesn lasu.

-Szybko! Woda do balii! - zakrzyknal Darlan. Grupa najsilniejszych kurzymisiow na chwile odlozyla orez. Znad kilku ognisk zdjeto kotly z parujaca woda. Kurzymisie nabieraly ja w wielkie dzbany, wdrapywaly sie na wieze i wylewaly wrzatek do stojacych tam drewnianych balii. Potem wracaly na dol, chwytajac w garście swoja bron - ciezkie kijaszki, maczugi oraz gwizdki zapachowe do kierowania pszczolami.

Wieze kontrolowal sam Darlan. Kazdemu z czekajacych tam spiewakow ostrocznie wreczyl czastke MiM, duza chochle do mieszania i specjalnie spreparowana slomke z pszenicznej lodygi. Nastepnie kazal uzbrojonym kurzymandosom wycofac sie poza linie pulapek, a sam jeden podszedl do ostrokołu.

"Ida... idaaa..." - uslyszal w myslach zaniepokojony szept duszkow.

-Czuje - mruknał. Bo rzeczywiście, wiatr nagle powiał od strony lasu ku kotlinie. Przyniósł ohydny won szwindlaków, w której mieszał się odor nienawisci i niedomytych zębów. Szwindlaki nadchodziły.

Po chwili stanęły na skraju lasu bezładna gromada. Darlan naliczył ich trzynastę. Różniły się wzrostem, liczbą posiadanych zębów i umaszczeniem. Wszystkie jednak wyglądały jednakowo paskudnie. Parchate, wyszczerzone, ze śliną spływającą z złotych zębów, groźnie toczące zamkniętymi oczyma. W łapach sciskały sekate maczugi i wielkie toporzyska. Niektóre miały kije z przywiązany do końców czaszkami wilków.

-Patrzcie no, braciszku - ryknął największy z nich, chyba herszt. - Jaki to sobie kudłaczę zbudował zamek He, he... pewnie im pomagał ten wychudzony rycerzyna... Jak raz w ten plot hukne... To co?! - zwrócił się do kompanów.

-To się nogami nakryje! - odpowiedzieli chórem.

-Tak jest! - wrzasnął uradowany herszt. - Za mną, kamraci!

Ruszyli. Biegli mocno pochyleni do przodu, często podpierając się dwiema rękami. Darlan zdawał sobie sprawę, że gdyby nie magia lesnych duszków, zmietliby ostrokol w jednej chwili.

-Pozwólcie im zrobić jeden mały wylom - powiedział Darlan do duszków. - Tak, żeby wszystkie szwindlaki wlały jedna dziurę.

"Rožuuumiemy... - zaszemrało mu w głowie. - Wpuszczymy ich tedyyyyy...".

Darlan zobaczył, że kilka drewnianych bali w samym środku ostrokołu zmienia kolor z brązowego na szary. To duszki spopieliły drewno od środka, żeby szwindlaki mogły wylamać dziurę. Rycerz nie miał zbyt wiele czasu na podziwianie tego zjawiska. Zajął miejsce w szeregu szykujących się do walki kurzymisiów.

Stało się tak, jak przewidziały duszki. Choć w zapórę niemal jednocześnie walnęło kilka szwindlaków, choć przeszkoda się zatrzaśła, a powietrze przeszły pisk naprezających magiczne osłony duszków, to ostrokol pękł tylko w jednym miejscu. Przez tę dziurę do kotlinki wtoczył się pierwszy szwindlak. Chwile potem zaczęły wylazić następne. Zobaczyły obrońców i zastawione na siebie pułapki.

-He, he - znów krzyknął herszt - zabawimy się, chłopaki! Jakem Hwrrrr! Na nich!

Skacząc niby szesciorekie małpy, wrzeszcząc i plując, szwindlaki ruszyły na kurzymisiów. Większość zresztą omijała lub przeskakiwała zastawione przeszkody. Tylko jeden wpadł do zamaskowanego dołu, z którego zresztą zaraz zaczął się gramolic. Zagrały flety kurzymisiowych pasterzy pszczół. Owady-wojownicy, bucząc i huczac, rzuciły się na najjezdźców. Ale szwindlakowa skóra jest gruba niczym pancerz. Nawet najdzielniejsze

pszczoły, te z najdłuższymi zadłami, nie zdołały jej przebić. Szarżujące szwindlaki zmrużyły oczy, zwinęły uszy i wciągnęły nosy - widocznie to były ich czule miejsca. Tylko jeden nie zdążył i dopadła go jakaś dzielna pszczoła. Nagle stanął, zamachał łapami i z rykiem strasznego bólu rzucił się na ziemię.

-Odgryzła mi nos! Odgryzła mi nos! - krzyczał, ale mylił się. Jego nos wcale nie stał się mniejszy, wręcz przeciwnie: zaczął rosnąć i puchnąć. Po chwili przypominał już wielki balon zasłaniający połę pyska i przeszkadzający w walce. Jednak pozostałe szwindlaki przedarły się przez przeszkody i uderzyły na linie kurzymisiów. Były ogromne, większe nawet od Darlana. Ciągnęło od nich wilgocia i zła magia, która dodatkowo osłabiała małe kurzymisie. Rozgorzała straszna walka. Jednego szwindlaka otaczało i dziesięć kurzymisiów próbujących powalić go na ziemię. Za plecami walczących stał Wielki Wuj. Podniósł ręce, mamrotał starodawne zaklęcia, a z jego dłoni tryskały snopy iskier bijących w najgroźniejsze szwindlaki. Wielki Wuj próbował wykorzystać swe czary, by osłabić złą magię szesściolapych stworów.

Tylko Darlan i Meczydusz walczyli z potworami jak równy z równym. Miecz rycerza błyszczał w słońcu, a maczuga gнома zataczała groźne kęgi. Dzielnie też sobie poczynił Jerzdna i jego najbliżsi druhowie. Jakby chcieli zmyć z siebie plamę wczorajszego zawahania - stawali przeciw szwindlakom prawie jak rycerz i gnom. Ale i oni nie dawali rady. Coraz więcej kurzymisiów wycofywało się z pola bitwy ze zmierzwionym futerkiem i łzami w oczach. Coraz częściej z gardel potworów wydobywał się ryk tryumfu. Szala zwycięstwa przechylała się na stronę szwindlaków. Darlan uznał, że nadszedł właściwy czas. Przesunął się ku Meczyduszowi.

-Daj znak! - krzyknął do gнома, przejmując jego przeciwnika.

Meczydusz sapnął, nabrał w płuca powietrza i wrzasnął:

-MiM do akcji! - jego gromki głos wznosił się ponad tumult bitwy. Na pewno usłyszeli go wszyscy kryjący się dotąd na wieżach śpiewacy. Chwile trwało, nim ponad ochronnymi barierkami zaczęły pojawiać się ich twarze. W dłoniach trzymali słomiane rurki. Przytknęli je do ust i zaczęli dmuchać.

I oto na końcach rurki zaczęły pojawiać się banki mydlane. Wielkie, Isniace, pulsujące w podmuchach wiatru, niepewne, czy oderwać się od słomek - w końcu jednak poszybowały ponad głowami walczących. Wojownicy jeszcze ich nie dostrzegli, a śpiewacy już pochylali się nad baliami z gorącą wodą, w której rozpuszczono kawałki Magicznego Mydła, już wydmuchiwały nowe banki. I następne, i następne. To dlatego Darlan wybrał śpiewaków - potrzebował kurzymisiów o mocnych płucach. Pierwsza banka, wielki tęczowy balon, rozprysnęła się nad głowami walczących. Jedna z kropli spadła na olbrzymiego szwindlaka gromiacego całę zastępy kurzymisiów.

Pyk!

Wielka maczuga na chwile zawisla w powietrzu. A potem spadla na ziemie, wzbudzajac radosny okrzyk niemilosiernie poturbowanych obroncow. Przez moment, tam gdzie stal zly stwor, wisial klab ciemnego pylu - brudu, plesni i tlustych plam, z ktorych zrobiona jest szwindlakowa dusza. A potem i ta chmurka sie rozwiala.

Pyk!

Drugi szwindlak zmienil sie w oblok dymu.

Pyk! Pyk! Pyk!

Teczowe balony baniek wolno sunely nad placem bitwy, szukajac kolejnego celu. Teraz dopiero herszt szwindlakow, ow Hwrgrr, zrozumial, co sie swieci.

-To magia! W nogi!

Sam pierwszy rzucil sie w te strone, z ktorej zaatakowali. Ku ostrokolowi. Za nim pognali jego kamraci.

-Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie! - krzyknal Darlan. Wiedzial, ze jesli choc jeden szwindlak umknie z pulapki, to wszystko na nic. Stwory ponownie sie rozmnoza i lepiej przygotowuja nastepny napad. A Magiczne Mydlo juz zostalo wykorzystane...

-Zatrzymajcie! - znou krzyknal, rzucajac sie ku najblizszemu szwindlakowi. Chwycil go za noge. Tamten wierzgnal, odrzucajac rycerza na bok, ale na chwile zwolnil. To wystarczylo. Migotliwy cien banki wplynal nad jego leb.

Pyk!

Ale kilka szwindlakow, nic zwazajac na opor kurzymisiow i pulapki, wciaz parlo w strone ostrokotu.

Pyk! Pyk!

Jeszcze czterech. Przedarły sie przez zapory, byly coraz blizej palisady. Za nimi, wolno, bardzo wolno, plynelo kilka baniek. Kurzymisie i Darlan zaprzestali gonitwy. Nic juz nie mogli zrobic - tylko obserwowac wyscig pomiedzy szybkimi, szesciolapymi stworami a powolnymi, majestatycznymi, pieknymi kulami.

-Teraz! - zza plecow oniemiałych kurzymisow dobiegi krzyk Wielkiego Wuja. Z jego dloni trysnal nowy deszcz iskier, niosac gwałtowny podmuch wiatru. Tak gwałtowny, ze Meczyduszowi spadla z glowy czapka, a Darlanowi nstroszyly sie wasy. Opalizujace mydlane kule wydely sie jak zagle i przyspieszily, by w koncu rozprysnac sie nad glowami szwindlakow.

Pyk! Pyk!

Juz tylko herszt i jeden z jego kompanow pedzili ku wyrwie w ostrokole. Z ust Darlana wydobył sie jek zawodu. Znad wiez plynela za szwindlakami lawica baniek, ale poruszaly sie zbyt wolno. Jeszcze pare susow i szwindlaki dopadna wylomu.

I nagle, Darlan az przetarl oczy, przy ostrokole cos sie zaczelo dziaz. Oto ziemia sie wybrzuszyła. Spod niej strzelily w gore cienkie witki, zaczely sie rozgaleziaz, pokryly paczkami, potem listkami. Jednoczesnie rosly, meznialy, delikatna kora pekala, zmieniala sie w twarda skore doroslego drzewa. W ciagu kilku sekund, przed ostrokolem wyrosł caly zagajnik, szczelnie blokujac powstala wczesniej wyrwe. Pierwszy zrozumial to gnom Meczydusz.

-Lesne duszki! To lesne duszki wyczarowaly!

Szwindlaki rowniez zobaczyly nowa przeszkode. Jeden stanal zdziwiony. Nim sie otrzasnal ze zdumienia, nad jego glowe nadplynela banka.

Pyk!

Ale wodz Hwrgrr nie zamierzal sie poddac. Dwoma susami ominal drzewa. Skoczyl w bok, tam, gdzie ostrokol wydawal sie najnizszy. Wybil sie w powietrze i juz, juz wydawalo sie, ze przeplynie ponad zaporą, gdy nagle z wnetrza scietych drzew wysunely sie liczne dlonie. Mgliste, drzace, zielonoblekitne - siegnely po szwindlaka, schwycily go mocno i cisnely o ziemie.

"Za naaaszyc braaaci, za naaaszyc braaaaaci" - w glowie Darlana rozbrzmial szept lesnych duszkow.

Dlonie wyciagnely sie ku szwindlakowi, otoczyly go, rozpostarly wokol niego lsniaca, nieprzejrzysta zaslone. Kiedy zniknela, nie bylo juz herszta szwindlakow Hwrgrra. W jego miejscu skakal po ziemi, przekrzywiajac lebek i nieporadnie bijac skrzydlami, maly, zielonoglowy dzieciol.

"Krzyyywdzil drzeeewa... - zaszepaty duszki. - Teeeraz nieeech je leeeczy...".

-Jak to zrobilyscie? - spytal Darlan.

"Pooozniej, ryycerzu! Jeeestesmy zmeczone. Musimy od poczaaac..." - glos duszkow brzmial coraz ciszej. Nawet dla tych najsilniejszych i czasem wrecz nazywanych "duchami" wyhodowanie drzew i powstrzymanie Hwrgrra musialo stanowic przeogromny wysilek.

-Dziekujemy wam, bracia! - Wielki Wuj ruszyl w strone czestokolu, szykujac sie do powaznego przemowienia i uroczystego wreczania medali. - Dzieki wam...

Ale Lesne duszki milczały. Pewnie teraz zajmowały kwatery w dopiero co wyrosłych drzewach - swoich nowych domach.

Zielonogłowy dzieciol trwożnie spojrzal na zbliżającego się Wuja. W czarnych paciorkach ptasich oczu odbił się blask medali niesionych przez młodego pomocnika. Dzieciol raz jeszcze wstrzasnął lebką i odleciał ku lasowi.

Minęły dwa dni.

Z każdym krokiem rycerz i gnom oddalali się od wioski. Postanowili jeszcze nie odpinać otrzymanych na pożegnalnym bankiecie medali. A nóż zobaczyłby to jakiś zablakany kurzymis i zrobiłoby mu się przykro.

-Wyjaśnij mi, panie gnomie - spytał Darlan - bo ciągle mi chodzi po głowie jedna myśl. Czemuś ty mnie zaczął na drodze, co? Przecież nie lubisz przygod?

-Aaa, tamto - Meczydusz uśmiechnął się szeroko. - Bo widzisz, drogi rycerzu, od śpiewania w moim lesie to jestem ja!

I zaśpiewał.

Przerazony biegacz Darlana zatrzymał się dopiero za dziewiątym rozstajem i dlatego rycerz nigdy nie dowiedział się, jaka to piosenka chciał podjąć dzielny lesny gnom Meczydusz.

PRAWDZIWIY SKARB

Każdy błędny rycerz wie, że nie ma to jak dobrze rozpoczęta przygoda. Dobra przygoda powinna się zaczynać niespodziewanie i w miłych okolicznościach; tuż po śniadaniu, ewentualnie po popołudniowej drzemce, najlepiej w ciepły, słoneczny dzień. Taki jak ten.

Darlan jechał na biegaczu, pogwizdywał z cicha i podziwiał świat. Gwizdanie i śpiew to najlepsi w podróży (oprócz dobrze ułożonego wierzchowca) przyjaciele błędnego rycerza. Kiedy wędruje się przez dzikie ostepy, nic tak nie dodaje ducha jak dziarska piosenka. Warto tu dodać, że większość błędnych rycerzy po wjechaniu na tereny zamieszkałe przestaje śpiewać, a to dlatego, żeby nadmiernie nie irytować miejscowej ludności.

Darlan był błędnym rycerzem z prawdziwego zdarzenia - młodym, ale już doświadczonym. Jak sam twierdził, miał za sobą już piętnaście i pół przygody (za te pół przygody Darlan poczytywał sobie spotkanie z pewnym dentystą - już po rwaniu trzonowca rycerz dowiedział się, że ów zaradny jegomość dorabiał sobie po godzinach jako kat miejski).

Przygoda numer szesnastą i pół zaczęła się nagle. Biegacz zarżał, a rycerz tuż obok siebie usłyszał oddech obcego człowieka. Zatrzymał wierzchowca, rozejrzył się wokół. Pusto. Dźwięk ucichł, za to przed oczami Darlana pojawiła się świetlista kropka. Po chwili punkt urosł, zmienił się w kuleczkę Isniaca białym blaskiem.

-Wiadomosc dla rycerza Darlana - powiedziala kuleczka piskliwym glosikiem i zaczela smigac w powietrzu, kreslac przed oczami zdziwionego podroznika swiecacy napis.

Drogi Darlanie!

Zwracam sie do Ciebie z prosba o pomoc. Wiem, ze jak kazdy bledny rycerz masz mnostwo waznych i niecierpiacych zwloki zajec zawodowych. Najpewniej wloczysz sie teraz po goscincach, poszukujac nieszczesnych potworow do zakatrupienia. Jednak bylbym Ci bardzo wdzieczny, gdybys mogl na pewien czas zrezygnowac z tych swiatowych przyjemnosci i pomoc mi w pewnej delikatnej sprawie. Bede Cie oczekiwal dokladnie za dwa tygodnie w gospodzie "Wesoly Troll" stojacej w Puszczy Niespodzianek. Jak juz wspomnialem wczesniej, sprawa jest delikatna i prosilbym Cie, zeby zachowal ja w tajemnicy.

A wiec do rychlego, mam nadzieje, zobaczenia

Twoj przyjaciel, Konnektus zwany Rozumnym

PS Kiedy odczytasz ten list, powiedz "Dziekuje".

-Potwierdzam odbior wiadomosci, dziekuje - powiedzial Darlan, a wtedy kuleczka zamrugala i zniknela. Potem wyblakl takze wieszacy w powietrzu napis, ktory po chwili zaczal sie rozwiewac niczym fajkowy dym.

List wyslal Konnektus Rozumny, przyjaciel Darlana z zakowskich czasow. Nie widzieli sie od kilku lat. Darlan wciaz podrozowal po swiecie w poszukiwaniu przygod, a Konnektus byl uczonym bakalarzem. Pracowal na uniwersytecie, poszukujac kamienia filozoficznego, probujac wyrysowac kwadrature kota i wymyslajac absolutnie skuteczne masci na komary. Coz takiego sie stalo, ze Konnektus poprosil Darlana o pomoc? I co moglo zmusic tego milosnika nauk i cieplych bamboszy do wyprawy w sam srodek Puszczy Niespodzianek (ktory to las zgodnie ze swa nazwa oferowal podroznym roznorodne atrakcje, takie jak napady zbojnikow, ataki goblinow, poscigi wilczej sfory oraz burze z gradobiciem)? Musialo sie wydarzyc cos naprawde niezwyklego, by Konnektus odstawil alchemiczne retorty i alembiki, przykul do polek wszystkie swoje magiczne ksiegi (zeby nie uciekly) i pozostawil pod opieka studentow laboratoryjne myszki i nietoperze.

Darlan wiedzial, ze nie odpowie na te wszystkie pytania, jesli sam tego nie sprawdzi. Czternascie dni pozniej dotarl do wyznaczonego miejsca spotkania.

Trolle pomnikowe to sympatyczne, ale bardzo rzadko spotykane magiczne istoty o dziwnych nawykach i obyczajach. Ustawiaja sie na skrzyzowaniach traktow i zastygaja w bezruchu, wygladajac niczym omszale, kamienne rzezby. Przyjmuja najdziwniejsze pozy, a czasami nawet przybieraja postacie znanych osobistosci - krolow i czarodziejow, pieknych ksiezniczek i bohaterow legend. Nie musza jesc - zywia sie bowiem podziwem i zainteresowaniem patrzacych ludzi. Im wiecej osob oglada trolla pomnikowego i im bardziej

się nim zachwyca, tym bardziej staje się on najedzony, tłusty i zadowolony z życia (trzeba tu oczywiście dodać, że pojęcie piękna majątrolle cokolwiek dziwaczne, stąd przedstawiane przez nich księżniczki nie cieszą się dużym wzięciem). Darlan słyszał, że w dawniejszych czasach przy co ruchliwszych traktach można było spotkać całe szeregi pomnikowych trolli wystawiających swe kamienne geby na widok gawiedzi. Powstała nawet specjalna odmiana tych stworzeń, które przywędrowały do miast i próbowały zajmować pozycje na ruchliwych placach targowych, przy bramach, a nawet wtarabaniac się do prywatnych ogrodków. Zwążywszy na to, że przeszkolony do zawodu troll pomnikowy potrafi stać w bezruchu przez jakieś dwadzieścia lat, można sobie wyobrazić, dlaczego właściciele ogrodków niespecjalnie za nimi przepadali.

W dzisiejszych czasachtrolle pomnikowe spotyka się bardzo rzadko, a jeśli już, to wyłącznie w gęsto zamieszkanym okolicach. Darlan zdziwił się więc bardzo, że zobaczył takiego stworza tu, obok starej gospody, na zapomnianej drodze wiodącej przez środek lasu. Wszak przez Puszcze Niespodzianek rzadko wędrowały karawany kupieckie i raczej nie należało tu liczyć na przypadkowych przechodniów.

Troll stał na jednej nodze, z łapami zgiętymi w lokciach i szeroko otwartą paszczą, wyszczerzona w szczerbatym uśmiechu. Może udawał bociana, który właśnie polknął smaczną zającę? Skóra stworza była szara. Darlan przypuszczał, że gdyby jej dotknął, to poczułby chłód i chropawość kamienia. Troll musiał dość długo stać w bezruchu, bo jego noga obrosła gęstą trawą, pomiędzy ramionami pajaki utkwały swoje sieci, a na głowie uwiliła sobie gniazdo para pliszek. Mniej wykształcony od Darlana obserwator mógł wziąć trolla nie za żywą istotę, ale za zwykłą rzeźbę. Troll był raczej szczupły, bez wahania można powiedzieć - wychudzony. Nic dziwnego, rzadko kiedy ludzie podróżowali tą drogą, więc nie mogli liczyć na spojrzenia zbyt wielu ciekawskich oczu. A bez zainteresowania i podziwu gawiedzitrolle pomnikowe szybko tracą na wadze. Kiedy Darlan podjechał bliżej, troll podniósł kamienne powieki, zamrugał i powoli powiedział:

-Karczma "Wesoły Troll" wita! Zapraszamy na ciepło, a za dodatkową opłatą także świeże przekąski - głos trolla chrząknął i skrzypiał, jakby stworz miedził w zębach worek żwiru. Może zresztą czasem to robił, sadząc po stanie jego uźębienia.

-A ten wesoły troll to ty? - spytał Darlan.

-Podajemy zimne napoje oraz oferujemy wygodne miejsca noclegowe w stajni... - ciągnął troll niewzruszenie. Jeśli chodzi o tak zwana inteligencję,trolle pomnikowe nie różnią się zbyt wiele od innych przedstawicieli swojej rasy: są mniej więcej tak samo lotne jak trzystukilowe kowadło.

Darlan zrezygnował więc z zadawania dalszych pytań i skierował się wprost do karczmy. Jeszcze zza pleców dobiegł go głos:

-Przyjmujemy wszelkie waluty z podobiznami królów, książąt i murgrabiów, posiadające

znaki wodne, certyfikat waznosci z piezczeciami oraz...

Karczma wygladala na rownie stara co troll - pokrzywiona, kamienista, omszala - nie zawalila sie jeszcze chyba tylko z lenistwa. Jednak szyby w oknach byly starannie wypucowane, drzwi odmalowane, a przed wejsciem suszyl sie na plocie rzad czystych garnkow. Te oznaki skrzetnosci i porzadku bardzo ucieszily Darlana. Zeby zdazyc na umowiony dzien spotkania, jechal tu bardzo szybko, nie polujac ani nie zbierajac swiezych owocow. Teraz mial ochote na smaczny posilek, ciepla kapiel i wygodne lozko.

Kiedy podszedl blizej budynku, uslyszal tupot nog. Drzwi otworzily sie z hukiem i prosto na Darlana wyskoczyl z nich maly, moze dziesięcioletni chlopiec.

Lups! Stuknal glowa w nogi Darlana, jeknal z bolu i klapnal na ziemie. Chwile pozniej z gospody wytoczyla sie zazywna, niemloda juz kobieta. Stanela w progu, patrzac na rycerza i na malca, wreszcie ruszyla w ich strone, wyciagajac zza pasa wielka drewniana lyche.

-Och, ty urwisie! Wybacz, szanowny panie, zaraz tego galgana spiore tak, ze popamieta i szanownego pana przeprosi. No, przepros szanownego pana, ancymonie, przepros! A chochla tak zaraz dostaniesz, urwipolciu, ze odechce ci sie tego biegania...!

-Stop! - powiedzial Darlan spokojnie, choc na widok szarzujacej gospodyni zadrzalby niejeden rycerz. - Maly nic mi nie zrobil!

-Ale mogli zrobic! - nie poddawala sie niewiasta. - Czy szanowny pan wie, co sie szanownemu panu przez tego farfocla moglo stac?! Na przyklad...

-Stop! - powtorzyl Darlan. - Czy pani jest wlascicielka tej gospody?

-A pewnie. Ja! Kto inny by tu chcial siedziec na tym odludziu?! I jeszcze wychowywac takiego szalapute...

Darlan zrozumial, ze jesli szybko czegos nie wymysli, to zaraz zostanie poinformowany o wszystkich klopotach zawodowych, rodzinnych i wychowawczych korpulentnej niewiasty. Musial ja powstrzymac. Przyszedl mu do glowy tylko jeden pomysl, jak to zrobic.

-Ciszaaaa! - wrzasnal, ile tylko mial sil w plucach. A potem spokojnie dodal: - Czy mozna u pani zlozyc zamowienie?

Wszedl do srodka oberzy. Nie spodziewal sie, ze w karczmie na takim odludziu jednoczesnie moze zebrac sie az tylu klientow. Konkretnie - osmiu.

Przy najwiekszym ze stolow siedzialo dwoch drwali - wielkich, ponurych drabow o sekatych ramionach, pobruzdzonych twarzach i czarnych, skoltunionych brodach. Rozmawiali glosno w jakims swoim drwalskim narzeczu, z ktorego Darlan co jakis czas wychwytywal pojedyncze slowa. Zazwyczaj mialy one cos wspolnego z "walnac",

"grzmotnac", "gruchnac" i "przyfanzolic".

Przy drugim stole siedział szczupły mężczyzna w podróżnym stroju. W kilku stojących przed nim miskach pietrzyły się stosy zieleniny. Chudzielec pozerł je w błyskawicznym tempie, co chwila wpychając sobie do ust kolejną porcję liści, lodyg i bulw. Darlan domyslił się, że to najpewniej znachor-zielarz preferujący zdrowy styl życia.

Wreszcie w samym kącie sali tkwilo kilku małych ludzików o sniadej cerze i prostych białych włosach. Ich głowy ledwie wystawały ponad blat, ale długie ręce sprytnie zagarniały do otwartych ust różne smakoliki. Obok stołu leżało pięć pakunków - każdy zdecydowanie większy od swojego właściciela. Worki były stare, polatane i pocerowane, a wypchane tak, jakby wsadzono do nich więcej gratów, niż zawiera posąg średnio zamoznej księżniczki. Darlan rozpoznał w ludzikach przedstawicieli rasy karlupców. Karlupcy zajmowali się głównie obnosnym handlem, a w swoich workach mieli zazwyczaj wszystko, co przeciętny człowiek chciałby kupić, nie wyłączając niewielkich palacyków, egzotycznych zwierząt i beczek kiszonej kapusty (zadnemu ze znanych magów i naukowców nie udało się odkryć tajemnicy karlupcowych worków, mimo że w wielu królestwach zagadnienie to zostało włączone do tajnych programów zbrojeniowych).

Darlan zajął miejsce przy stole. Zamówił owocową herbate, grochowkę i pieczonego kurczaka,

-Cos nie za tłusty ten wasz przydrożny troll - zagadnął karczmarke, gdy stawiała przed nim talerz z parującym miesiwem.

-A chudziutki, biedaczysko - rozczuliła się gospodyni. - Az za! Ale jak ma nie być chudy, skoro teraz mało kto chodzi traktem. Bywa, że i przez tydzień nikt tu nosa nie wsadzi. No, jak troll pomnikowy ma utyc na takiej diecie?

-Nie może się przenieść w ludniejszą okolicę?

-Panie rycerzu, a co to ja nie mówiłam mu: idź, trollu, zostaw nas, damy sobie radę, przenieś się do stolicy albo przynajmniej do najbliższej wiochy. "Kontrakt - powiada on na to - z ichmości dziadkiem podpisałem, to słowa dotrzymam. Swoją honor mam!".

-Jaki kontrakt?

-Ano z dziadkiem moim, co te karczme zbudował. Troll, Galigapter się nazywa, zobowiązał się za słup ogłoszeniowy zrobić i w potrzebie pomagać przez najbliższe sto lat. No to mu jeszcze - karczmarka zawahała się, licząc na palcach - jeszcze jakieś pięćdziesiąt cztery zostały... Zmarnieje nam tu, nieboga, nie ma co gadać. Ale honor święta rzecz i dla rycerza, i dla pomnikowego trolla.

-A coż dziadek pani trollowi w tym kontrakcie zaoferował?

-Jak to co? Miejsce przy karczmie! Panie rycerzu, tu dawnymi czasy ruch był jak w kroliczej norze! Karawany kupców, pszczelarze, drwale, orszaki rycerskie, wszyscy jeździli na skuski przez Puszcze Niespodzianek. A ze trzydziści lat temu będzie, jeszcze mój tatuś oberża kierował, lups i pups, coś się zacięło w interesach. Legenda poszła, że w puszczy coś na karawany napada i cały ładunek zżera, czasem i razem z woznicami. A co najważniejsze, nowe krótsze drogi przez góry zbudowali. No i rok za rokiem coraz mniej ludzi traktem jeździło. Dzisiaj - wskazała na siedzących w oberży gości - ruch mam większy niż przez ostatnie dwa tygodnie razem wzięte!

-A nie pojawił się tu ostatnio taki chudy dziwak? Włosy ma czarne - te, które mu jeszcze zostały. Chodzi w poplamionym i dziurawym kubraku, na nosie trzyma szkła okragłe, okularami zwane, a palce ma poplamione atramentem i kwasami.

-Eee... nie było. Takiego to bym zaraz zapamiętała. Atrament na palcach. To pewnie i pisać umie, co? Czego to ludzie w dzisiejszych czasach nie wyrabiają?!

-No to szkoda - mruknął Dartan i zajął się jedzeniem smakowicie przyrządzonego kurczaka. Oberżystka spojrzała na wszystkie stoly, zapytała, czy gościom czego nie brakuje, i poszła do kuchni. Chwile później drzwi karczmy skrzypnęły i stanął w nich mały syn karczmarki. Niepewnie zatrzymał się na progu, ale sprawdzwszy, że matki nie ma w izbie, szybko podszedł do stolika Darlana.

-Panie rycerzu - wyszeptal - wielmożny panie rycerzu... Ja slyszalem, o co pan moja mame pytal. Tego czlowieka w karczmie nie bylo... ale Gaptus, Galigapter znaczy, widzial takiego jednego cudaka... Moze jasnie pan Gaptusia spytac!

-To troll gada coś jeszcze oprócz zaprosin do gospody?

-Tylko z przyjaciółmi - uśmiechnął się młec. - A ja jestem jego przyjacielem! Na imię mi Klimek!

-No to chodźmy - Darlan ruszył za chłopcem. W drzwiach gospody zatrzymał się na chwilę i obejrzał. Wszyscy goście - drwale, ziołojad i karłupcy - zajęci byli swoimi sprawami, czyli jedzeniem, gadaniem i pilnowaniem worków z dobytkiem. Jednak Darlan założyłby się o swoje wąsiska, że jeszcze przed chwilą wszyscy wpatrywali się w jego plecy i uważnie słuchali rozmowy z młecem.

Darlan był tak zmęczony długą podróżą, że chciał położyć się spać, gdy tylko słońce skryje się za linią horyzontu. Izba, którą dostał od karczmarki, nie była duża, ot taka, żeby się w niej zmieściło łóżko, cebrzyk z wodą i kilka polek. Rycerz umył się przy studni. Przez nieosłonięte okna widział wewnątrz karczmy. Towarzystwo w środku nie zmieniło się. Drwale dalej opowiadali zajmujące historie o tym, jak to kiedyś jeden drugiego kijem potraktował. Salatozerca wprowadzał do żołądka kolejne porcje roślinnego jada. Karłupcy okupowali swój stół, a w przerwach między posiłkami grali w jakąś dziwną karłupcową zabawę

polegająca na handlowaniu karteczkami o tajemniczych nazwach "obligo" i "weksello". Po rozgrywce zwycięzcy oddawali swoje lupy przegranym i cała zabawa zaczynała się od nowa.

Jeśli nie liczyć wybuchów śmiechu drwali, popiskiwanie rozgrzanych emocjami karłupców oraz mlaskania i siorbania trawojada, wokół gospody panował spokój. Tylko drzewa cicho szumiały, widocznie też już zmorzone wieczorem, umilkły ptaki dzienne, jeszcze nie obudziły się sowy i cmolbrzemy. W tezejacym polmroku Darlan dostrzegł sylwetkę Galigaptera. Troll stał cały czas w tym samym miejscu, najprawdopodobniej nie drgnawszy przez cały dzień. Nawet paszcze ciągle miał otwartą w uśmiechu. Może naprawdę się cieszył, wszak wedle słów oberzystki tylu ludzi naraz nie patrzyło na niego od tygodni. A więc i dla honorowego trolla był to syty dzień.

"Smacznego" - pomyślał Darlan, uśmiechając się pod wasem.

Postać trolla, pewna, niewzruszona, trwająca na służbie pomimo przeciwności, przydawała sytuacji poczucia bezpieczeństwa i spokoju. A jednak Darlan się denerwował. Galigapter bowiem wyjawiał mu w rozmowie, że widział człowieka, którego opis zgadzał się z wyobrażeniami Darlana o możliwym wyglądzie Konnektusa. Jak powiedzieliśmy wcześniej, trolle pomnikowe nie zajmują górných szczebli na ewolucyjnej drabinie inteligentnych istot, jednak pamięć mają doskonałą. Czymże bowiem ma zajmować się stojący nieruchomo przez dziesiątki lat stwor jak nie zapamiętywaniem widzianych rzeczy? No więc Galigapter widział człowieka w podniszczonym płaszczu i akademickim birecie, z okularami na nosie i palcami poplamionymi atramentem. "Pachniał ładnie" - dodał jeszcze od siebie troll, z czego należało wnioskować, że wokół człowieka unosiła się won siarki, metalu i minerałów. Tak właśnie wyglądali i pachnieli wszyscy akademicy profesorowie, których Darlan znalazł z dawnych czasów. Rycerz nie sądził, żeby na to odludzie zaplatało się naraz aż dwóch bakalarzy. Człowiek, którego widział troll, musiał być Konnektusem.

Przyjaciel Darlana nadszedł podobno droga od południa. Im bliżej karczmy, tym ostrożniej się poruszał. Wreszcie wszedł z traktu, omiinal witającego go trolla i zaszył się w gestych krzakach jeżyn otaczających oberżę od strony lasu. Spędził tam blisko poł dnia, uważnie obserwując wszystkich wchodzących do oberży gości. Potem zaś wygramolił się z zarosli i zamiast iść do karczmy na posiłek, ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł, tyle że nie traktem, ale lasem. Wszystko to działo się wczoraj, a więc na dzień przed umowionym z Darlanem terminem spotkania. Dzisiaj bakalarz nie pojawił się ani w oberży, ani w jej okolicach, choć wiedział, że może się tu zobaczyć z Darlanem! Co się stało? Czyżby Konnektus obawiał się któregoś z gości gospody i postanowił poczekać na Darlana w lesie? A jeśli tak - to czemu nie przybył dzisiaj? Te pytania dreczyły rycerza, podobnie jak dziwna i tajemnicza treść listu od Konnektusa. I dlatego właśnie wieczor, mimo że ciepły i przyjemny, wcale nie wydawał się spokojny.

Darlan położył się spać. Wypchany suchą trawą siennik zapadł się miękko pod ciężarem jego ciała. Przez okno saczał się do izby blask księżycy, oświetlając ją białym, ostrym

blaskiem. W koncu zmeczenie, dobry posilek i wygodne poslanie pokonaly niepokoje Darlana. Rycerz usnal.

Nie minela jeszcze polnoc, gdy cien przeslonil ksiezycowe swiatlo. Pod oknem Darlana cos zaszemralo, dwie dlonie przylgnyly do okiennej szyby, a chwile potem ponad parapet wychylila sie oslonieta kapturem twarz. Dlugie waskie palce przesunely sie wzdluz framugi, szukajac szczeliny. Natrafily na nia: blysnal noz, podwazone okno zadrzalo, pchniete delikatnie, zaczelo sie otwierac. Postac podciagnela sie na parapecie, by wejsc do izby, w ktorej spal Darlan.

Juz prawie byla w komnacie, gdy za jej plecami wyrosla jeszcze jedna sylwetka. Potezne, kostropate kontury zdradzily, ze to jeden z drwali. Mezczyzna wzniosl maczuga i z calej sily grzmotnal intruza w zakapturzona glowe. Czlowiek z nozem zdazyl tylko krzyknac z bolu, po czym jego ciało z hukiem zsunelo sie do wnetrza, tlukac przy okazji okienna szybe.

Kiedy obudzony Darlan poderwal sie z lozka, do jego izby wbiegala wlasnie uzbrojona w kij oberzystka. Za nia szedl trzymajacy swieczke syn, z innych czesci gospody dobiegaly krzyki obudzonych gosci. Jednak kiedy rycerz spojrzal za okno, nikogo juz tam nie bylo.

-Niech pani odlozy swoj instrument przemocy - uspokajajaco powiedzial Darlan do oberzystki. - To przyjaciel.

-W nocy przez okno wlazi i przyjaciel?! - mocno zdenerwowala sie kobieta. - Nowa szybe mi potlukl. Pare talarow kogos ta przyjazn bedzie kosztowac!

-Pokryje wszelkie koszty. A teraz prosze wyjsc i przyniesc tu zaraz dzban dobrego napoju i kawalek chleba.

-I pol sarniego udzca - mruknal podnoszacy sie z ziemi nieudaczny napastnik. - Od dwoch dni nic nie jadlem. Hm... To niech bedzie caly udziec.

-Patrzcie go - jeszcze zza drzwi slychac bylo trajkotanie. - W nocy do domu uczciwego karczmarza sie zakrada i jeszcze ma wymagania... A skad ja mu o tej porze udziec sarni znajde? Chyba ze zaraz cos upoluje po lesie...

-Caly czas tak gada, nie przejmuj sie - Darlan spojrzal na przybysza z usmiechem. - A teraz ty mi wytlumacz! Po co, do stu powodzi, w srodku nocy wlazisz do mojego pokoju przez zamkniete okno, Konnektusie?

-Probowalem je otworzyc - mruknal mezczyzna, rozcierajac stluczony lokiec. Ciezko usiadl na lozku i zaczal swoja opowiesc:

-Jak wiesz, drogi Darlanie, od dziesieciu lat pracuje jako bakalarz honoris causa (o wlos od tytuliu magistra) na Uniwersytecie Miejskim w Xfordzie. Prowadze tam zajecia w Katedrze Jezkow Dawnych i Jeszcze Dawniejszych. Generalnie zajmujemy sie

odszukiwaniem manuskryptów, ksiąg, pergaminów, napisów naskalnych, nadrzewnych, podwodnych i napowietrznych wykonanych przez dawno wymarłe rasy i kultury. Wszystko to spisane jest w tajemniczych językach, które próbujemy odszyfrować. Nie mamy łatwej roboty, zważywszy, że o przedstawiciela wymarłej rasy nadzwyczaj trudno w dzisiejszych czasach. Dołóż sobie jeszcze, że na ziemi żyły kiedyś stworzenia, które pisały kolorami, zapachami czy ułożeniem fryzury na głowach. Tak więc praca nie jest łatwa, ale za to niezwykle ciekawa, a przy tym może przynieść badaczowi wielką naukową sławę (o tytule magistra nie wspominając). Wiele dowiadujemy się o przeszłości naszego świata, o tym, kto na nim kiedyś żył, jak żył i po co. Mówię ci, Darlanie, historia to najciekawsza akademicka nauka (niczego nie ujmując, rzecz jasna, fizyce, alchemii i białej magii). Wracając do tematu - w czasie mojej pracy bardzo dużo czasu spędzam w akademickiej bibliotece, przekładając prastare pergaminy, kamienne tabliczki i wytatuowane mumie (wiesz, papier to całkiem nowy wynalazek), i właśnie w jednej z takich ksiąg trafiłem na niezwykle znalezisko. W grzbiet zwykłego, średnio ciekawego woluminu, traktującego o obyczajach potworów nessesie, włożono strzep chusty. Na chustce tej spisano opowieść o skarbie ukrytym w tych rejonach. Podobno ów skarb to spuścizna plemienia Czarnobrodych zamieszkującego okoliczne ziemie przed tysiącem lat. Zapis mówi o tym, że gdzieś tu znajduje się ukryty skarb Czarnobrodych, i podaje kilka wskazówek, jak można do niego dotrzeć. Podekscytowany tym odkryciem poprosiłem moich przełożonych o dwumiesięczny urlop i postanowiłem wyruszyć na wyprawę poszukiwawczą. Niestety, moje przygotowania wpadły komus w oko. Pewnej nocy, kiedy już miałem kupiony wóz, łopaty i zapas sucharów, pod mój dom podłożono ogień. Wszystko splonęło. Także owa chusta, choć nie mam pewności, że nie została wcześniej ukradzioną. Początkowo sądziłem, że to przypadek, jednak dwa dni później bandyta zaatakował mnie na ulicy. Gdyby nie przechodzący obok patrol halabardników miejskich, już byś mnie Darlanie nie widział, chyba że jako zjawę z zaświatów przywołaną czarami.

To wtedy napisałem do ciebie list. Uznałem, że nie mogę tej sprawy tak zostawić, że mój prześladowca musi ponieść karę, no i że trzeba odszukać skarb. Wyobrazasz sobie, jakie bogactwa mogli zostawić Czarnobrodzi?!

-Jak się znam na skarbach, to pewnie będzie to: punkt pierwszy - złoto, punkt drugi - klejnoty w złocie, punkt trzeci - złote monety, punkt czwarty...

-Owszem, owszem, ale nikt nie ma jeszcze żadnych wytworów kultury Czarnobrodych. Oprócz ruin ich twierdz i paru wielkich posągów nic się nie zachowało do naszych czasów. Jeśli zdobędzie ten skarb, to na pewno zostanie magistrem, a kto wie, może nawet prezydentem!

-Prezydentem czego?!

-Jak to czego? Naszego uczelnianego koła dyskusyjnego historyków!

-Czy nie za często patrzysz w przeszłość, mój drogi Konnektusie? Może należy bardziej

interesowac sie przyszloscia?

-Ech, rycerzu. Bez przeszlosci nie ma przyszlosci. Kim bys byl bez swoich wspomnien, bez doswiadczen, bez przezyc? Bezmyslnym stworem, co szuka tylko korzysci, co zapomina o swych powinnosciach, krzywdach ludzkich i wiedzy, ktora zdobyli przodkowie. To samo dotyczy krolestw, ludow i swiatow.

-Oraz calego okolicznego kosmosu, jak sie domyslalam - usmiechnal sie Darlan.

-Tak sadze, choc teza ta nie zostala na razie naukowo udowodniona. Jak wiesz, wszystkie dotychczasowe magiczne podroze poza nasz glob mialy przebieg negatywny. Szczegolnie dla eksperymentatorow.

-No dobrze, wrocmy do twojej opowiesci.

-Kiedy zorientowalem sie, ze jakis lajdak czyha na moje zycie, zaczalem sie ukrywac. Trzy dni spedzilem w katakumbach na akademickim cmentarzu. I choc mialem tam sposobnosc obcowania twarza w twarz z dawnymi slawami naszego uniwersytetu, to - jak sie domylasz - nie wspominam tego czasu zbyt miło. Nocami wymykalem sie na miasto i dokonywalem zakupow prowiantu na droge. Potem chylkiem opuscilem Xford. Szedlem lasami, raczej unikalem traktow. Skad moglem wiedziec, czy zaatakowal mnie pojedynczy bandzior, czy cala szajka mogaca obstawic wiele goscincow i bez wzgledniejsza niz urzad podatkowy (o ile to w ogole jest mozliwe). Mimo tych przeszkod dotarlem tu na czas, a nawet przed czasem, bo wczoraj. Od tej gospody do miejsca ukrycia skarbu jest juz bardzo niedaleko. Jednak w oberzy siedzialo wielu podejrzanych typkow. Uznałem, ze bezpieczniej bedzie, jak ukryje sie w lesie i poczekam na twoje przybycie. Niestety, ktos mnie napadl. Dostalem w leb drewniana pala, tak ze zobaczylem przed oczami wszystkie gwiazdozbiory. Powleczono mnie przez las, zwiazano jak dobry baleron i cisnieto do dolu. Sadze, ze nie zabili mnie od razu, bo gdyby mieli jakies klopoty z odnalezieniem skarbu, zawsze mogliby wymusic na mnie wspolprace - Konnektus zadrzal na mysl, co bezwzgledni bandyci mogliby uczynic z jego akademickim cherlawym ciałem i twarda dusza intelektualisty. - Jednak popelnili blad. Nie sprawdzili dokladnie jamy, a ja odnalazlem w niej ostro zakonczony kamien. Udalo mi sie przeciac wiezy i uwolnic z pulapki. Noca chylkiem dotarlem tutaj. Balem sie pokazywac wszystkim, zeby i na ciebie od razu nie sciagac niebezpieczenstwa. Reszte znasz. Otwieralem wlasnie okno, gdy ktos walnal mnie od tylu w czaszke, I teraz mam na glowie dwa guzy. Poszukiwanie starych skarbow to nie jest chyba zajecie dla szanujacego sie bakalarza (z duza szansa na magisterium)!

-Jesli rzeczywiscie zaatakowal cie twoj wczesniejszy przesladowca, to wie juz, ze uciekles. Musi sie spieszyc i jak najszybciej dotrzec do skarbu. My tez musimy ruszac natychmiast!

-Nie musimy - spokojnie powiedzial Konnektus. - Opis mowil, ze do skarbu mozna dotrzec tylko w czasie kilku specjalnych dni w roku. Wlasnie jutro jest taki dzien. Ostatniej

wskazowki dostarczy nam blask poludniowego slonca. Mamy wiec czas do jutra. Wycieg zacznie sie o swicie.

"Kto jest napastnikiem: drwale, wegetarianin, karlupcy? - zamyslil sie Darlan. - Karczmarka chyba nie, bo co ona robilaby w Xfordzie? A moze to robota kogos zupełnie innego?"

Wstali wczesnym rankiem, ale okazalo sie, ze inni mieszkancy gospody rowniez potrafia zrezygnowac z wylegiwania sie na sianie. Zielarza juz nie bylo. Powiedzial gospodyni, ze idzie do lasu w poszukiwaniu bardzo smakowitych mchow, ktore rosna w tej okolicy. Drwale wlasnie opuszczali gospode, halasujac przy tym niczym pozadlone przez pszczoły niedzwiedzie. Karlupcy wsuwali sniadanie: porcje jedzenia rownie wielka jak wczorajsza kolacja. Worki oczywiscie trzymali tuż obok siebie. Darlan i Konnektus szybko zjedli zupe owsiana, chwile pogawedzili z Klimkiem i wypyтали gospodynie o to, kto jeszcze krecil sie ostatnio po okolicy. Nie musieli sie juz ukrywac, przeciwnik i tak wiedzial, po co tu przybyli. Darlan sprawdzil jeszcze, czy biegacz w stajni jest dobrze oporzadzony, po czym pieszo wyruszyli w las. Konnektus pamietal doskonale tresc planu, niemniej jednak poruszal sie po nieznanym terenie, wiec dosc czesto stawali, szukajac zapowiedzianych wskazowek, a takze nasluchujac przesladowcow. Droge do skarbu wytyczaly naturalne znaki - strumien, bialy glaz, pagorek, a takze slady dzialalnosci istot rozumnych - ruiny starej fortecy, plaskorzezba na skalnym zboczcu, kamienne podpory dawno zwalonego mostu. Konnektus nanosil polozenie tych miejsc na arkusz pergaminu, wykreslal jakies linie, liczyl kroki, czasem obracal sie wokol wlasnej osi, spluwal przez lewe ramie lub podskakiwal na jednej nodze, wykrzykujac: "Kacza zupa!". Wszystko to bylo niezbedne, jak wytlumaczyl mocno zdumionemu Darlanowi, aby odnalezc droge do skarbu. W czasie gdy bakalarz oddawal sie swoim podejrzanym praktykom, Darlan bacznie obserwowal las. Puszcza byla spokojna. Zwierzeta zachowywaly sie normalnie, a cienie duszkow, ktore przy duzym wysilku potrafily dostrzec rycerz, sennie przemykaly pomiedzy konarami. W pewnym momencie poszukiwacze natkneli sie na obozowisko drwali. Stal tam niedawno zbudowany szalas, czernil sie slad po ognisku, na sznurkach suszily jakies szmaty. Darlan wiedzial, ze las wokol siedzib drwali nigdy nie odpoczywa. Nawet jesli rebacze sa przyjacielmi puszczy i wycinaja tylko te drzewa, w ktorych nie mieszkaja lesne duszki - zawsze obecosc ludzi z siekierami niepokoi mieszkancow lasu. Tymczasem tu drzewa byly tak samo ciche i uspione jak gdzie indziej.

-Dziwne miejsce - mruknal Darlan. - Hej, hej! Czy jest tu kto?!

-Dlaczego dziwne? - spytal Konnektus. - Polana jak polana...

-Slyszales tych drwali? O czym rozmawiali? I w jaki sposob? Popatrz na to obozowisko. Tu jest taki porzadek, jakby kazdy z nich mial co najmniej trzy zrzekliwe zony.

-Masz racje - Konnektus nagle cos dostrzegl. - Podejdz tu! Patrz!

Na scianach szalasu wycieto nozem dziwne znaki. Przypominaly pismo, ale Darlan nie zetknal sie nigdy z podobnym jezykiem.

-Moze to symbole drwalskie. Wiesz, kazdy cech zawodowy ma tajemne litery. Nawet zebracy i zlodzieje posluguja sie wlasnym pismem.

-Wiem, wiem - powiedzial Konnektus. - Ale pamietaj, ze ja troche znam sie na tym. To nie jest jezyk drwali. Ale gdzies juz widzialem podobne symbole, tylko nie pamietam gdzie...

-Witam szanownych panow! - rozlegl sie glos za ich plecami. - A coz tu porabiacie szlachetni, ty, panie rycerzu, i ty, mister bakalarzu?

Odwrocili sie gwaltownie. Spomiedzy drzew na polane wyszedl zielarz. Na plecach mial worek wypchany jakimis sianem, u pasa wisiala mu mniejsza sakwa, z ktorej wystawaly suche klacza.

-A coz to, szanowny panie - spytal grzecznie Darlan - za przeproszeniem cie w ogole obchodzi?

-Nie denerwuj sie, panie rycerzu, z przyjazni pytam. I z troski. Nazywam sie Jan Marcepan Gibbonus. Jestem aptekarzem amatorem, czcicielem przyrody i wegetarianinem z powolania. Podrozuje po swiecie, zbierajac rzadkie ziola i przygotowujac cenne, lecz absolutnie skuteczne leki na takie popularne dolegliwosci, jak swinka, grypa, koklusz, kurczajki, duchoty, trudny charakter, wzdecia i globus oraz wiele innych. To stanowi zrodlo mego dochodu, nie powiem, ze duzego, ale ja nie dbam o majatek. Moim celem, moja idee fixe, jest, drodzy panowie, uswiadamiac ludziom i innemu dwunogiemu plugastwu, jaka miloscia nalezy darzyc przyrode i piekny swiat nas otaczajacy. I dlatego przybylem do obozu tych barbarzyncow, ktorzy niszcza dziewicza puszcze, by im wyklad na ow temat wyeksplikowac!

-A nie sadzisz pan - odezwal sie Konnektus - ze ci dwaj drwale za panska eksplikacje pana po prostu w teb palna jakimis ciezkiem przedmiotem?

-Dla mojej misji, drogi panie, jestem gotow do kazdej ofiary, a cierpienie moze tylko wzbogacic ma dusze i przydac jej jeszcze wiecej szlachetnosci. Choc, szczerze mowiac, i tak mam jej niemalo. Moj oboz tymczasowy znajduje sie nieco dalej na wschod, jakies trzy tysiace krokow. Tam mieszkam, zywiac sie jedynie korzonkami i jagodami. Zatem ja przedstawilem panom cele mej lesnej podrozy. A panowie?

-My, panie Marcepanie, chodzimy sobie po lesie, bo szukamy grzybow. Nie szukamy natomiast towarzystwa. Dlatego tez zaraz sobie stad pojdziemy i prosimy, abys pan za nami nie szedl.

-Nie mialem takiego zamiaru, Ja tu sobie na onych barbarusow poczekam. Mam tylko nadzieje, ze nie zerwa panowie, wiecej grzybow, nizli wam to do konsumpcji potrzebne?

Byłaby to nieodwracalna dezintegracja środowiska naturalnego w tej okolicy...

-A zebys ty sie muchomorow nazar! - warknal Konnektus, kiedy juz zostawili zielarza za soba. - Ale to nie on jest naszym wrogiem. Chudy on jak noga pajaka i je wylaczenie zielenine. Tfu! Ten, kto mnie w glowe walnal, ma taka krzepe, ze wsuwa pewnie tylko niedzwiedzie sadlo.

-Jak tam twoje punkty orientacyjne? - spytal Darlan. - Do poludnia nie zostalo nam juz wiele czasu.

-Powinnismy znalezc jeszcze dlugi row, pozostalosc po jakims pradawnym kanale. On wskaze nam kierunek. Potem musimy isc, az slonce stanie w zenicie. I to bedzie ostatni wazny sygnal. Pozniej zostanie nam tylko kilka prostych przekształcen i obliczen. I mamy skarb!

-No dobra. Pamietaj, ze nie tylko my bedziemy dysponowac tymi danymi. Kto pierwszy wykona rachunki, ten pierwszy dotrze do skarbu. A nasz przeciwnik mogl tu przybyc wczesniej i przed nami okreslic polozenie punktow orientacyjnych. Teraz czeka tylko na slonce. O, patrz, tam chyba jest ten row!

Rzeczywiscie, zarosniety krzakami i w wielu miejscach zawalony kanal ciagnal sie az po horyzont. Ruszyli wzdluz rowu, uwaznie obserwujac slonce. Poludnie bylo tuz-tuz.

Nagle Darlan uslyszal za plecami cichy, nienaturalny szelest zarosli. Nie zwolnil ani nie przestal rozmawiac z Konnektusem, ale natezyl wszystkie zmysly, starajac sie okreslic liczbe przeciwnikow i odleglosc, w jakiej sie znajduja. Na pomoc przyjaciela nie liczył - wiedzial, ze bakalarze sprawdzaja sie tylko w bojkach z innymi naukowcami toczonych w czasie tak zwanych debat naukowych.

"Chyba jest tylko jeden... Jesli sie skrada przez geste zarosla, to chyba nie ma napietego luku... Chyba...".

-Wrog! - krzyknal Darlan do Konnektusa i wyciagnal miecz z pochwy. Odwrocil sie blyskawicznie, skoczyl w te strone, z ktorej dochodzil szelest. Krzaki zatrzeszczaly i wypadl z nich niski szary ksztalt. "Karlupiec" - przemknelo przez glowe Darlana. Postac rzucila sie do ucieczki. Darlan byl szybszy. Skoczyl, uderzyl intruza w plecy, tak ze tamten potoczyl sie po ziemi. Rycerz juz stal nad nim, przyciskajac do gardla ostrze miecza.

-Panie, litosci... - uslyszal cichy, przerazony glos.

-Do stu powodzi! Co ty tu robisz, Klimku?!

-Ja... ten tego... tamtego... to wszystko, panie Darlanie, bylo takie ciekawe, ze ja musialem, musialem to zobaczyc... oj, teraz, jak sie mama dowie, to bede mial... - chlopak gramolil sie z ziemi. Twarz mial ze wstydu czerwona jak burak.

-Mylisz, że jeszcze nie wie, że cie w domu nie ma?

-Powiedziałem, że idę do lasu zbierać jagody na podwieczorek dla szanownych panów...
No, ale jak się dowie, że ja panów śledziłem w lesie...

-Lepiej, żebyś się tu nie krecił, Klimku. Teraz ten las to nie jest miejsce dla małych chłopców. Proponuje umowę: ty natychmiast wracasz do domu, a ja nie powiem twojej matce o całym wydarzeniu. Umowa stoi?

-Stoi! - pęgowata twarz chłopca rozjaśniła się w uśmiechu. - To ja już lece? Ale... co będzie, jak do domu bez jagód wrócę?

-Powiedz, że Jan Marcepan skosztował wszystkie jagody w okolicy. Patrząc na tempo, w jakim pozera wszelką zieleninę, jest to bardzo prawdopodobne wytłumaczenie.

-To już lece. I ten tego... tamtego... przepraszam! - i już go nie było. Wędrowcy ruszyli dalej.

-Mam złe przeczucia, Darlanie - powiedział Konnektus. - Zmarnowaliśmy przez tego chłopaka sporo czasu. Południe nas zaskoczy daleko od miejsca, w którym powinniśmy się znaleźć. Niedobrze, zobacz, słońce prawie stoi w zenicie.

Darlan przyłożył dłoń do oczu, spojrzał w niebo.

-Słońce już jest w zenicie, Konnektusie. Określ kierunki i zaczynaj swoje obliczenia.

Uczony wyciągnął spod pachy swojego płaszcza drewnianą ekierkę, mosiężne wahadło na długim sznurku i garsc pestek z dyni.

-Kiedy zuje - wyjaśnił Darlanowi - lepiej mi się myśli.

Konnektus przykucnął, rozłożył pergamin na ziemi, coś zaczął mierzyć i liczyć. Bijał wahadłem, mruczał przy tym pod nosem, czasami drapał się w ucho. Darlan krążył wokół niego, wypatrując wśród drzew ewentualnych przeciwników. Las był spokojny.

-Jeszcze chwila, jeszcze chwila - mruczał Konnektus. - Mam! Ruszamy w tamtym kierunku! Biegiem!

Mężczyźni popędzili przez las. Galezie drzew chlastały ich po twarzach, stopy ślizgały się na miękkim mchu, gesty krzewy przeszkadzały w biegu. Wkrótce las zaczął się zmieniać. Drzewa coraz częściej rozstępowały się, by dać miejsce wystającym z ziemi gałęzom, gdzieś otwierały się jamy, czerniły dziury do jaskin. Parę razy stawali, by chwilę odpocząć i by Konnektus mógł sprawdzić kierunek. W końcu dotarli do długiego glazu leżącego na ziemi. Bakalarz krzyknął, by się zatrzymali.

-To chyba tutaj - spojrzal na swój plan. Ciezko oddychal, zmeczony dlugim biegiem. - Tak wynika z obliczen. Bez nich byśmy go nie znaleźli, w tej okolicy sa tysiace takich kamieni.

-Czego byśmy nie znaleźli? - spytal Darlan nieco zniecierpliwiony. Obszedl glaz, pukajac go tu i owdzie, kopnal ze dwa razy. - To przeciez lita skala. Ani do niej wejśc, ani podnieśc!

-Lita albo i nie - spokojnie powiedzial Konnektus. Podszedl do kamienia. Patrzac na swoja kartke, dotknal dlonia kilku miejsc. Wypowiedzial pare obco brzmiacych slow. Wreszcie obrocil sie dookola swojej osi, podskoczyl na jednej nodze i krzyknal:

-Kacza zupa!

W tym momencie glaz zaczal sie zmieniac.

Znikneta szorstka, szara powierzchnia. Kamien stal sie gladki i lśniacy niby lustro. Nie byl to jednak koniec przemiany. Po chwili na blyszczacej gladzi pojawil sie zarys czterech linii, ktore wkrótce polaczyly sie ze soba, tworzac prostokat.

-To drzwi - szepnal Darlan. - Umiesz je otworzyć?

-Powinny to zrobic same - powiedzial zadowolony Konnektus, a kiedy drzwi rzeczywiscie zaczely sie otwierac, dodal: - Wiesz co, ja tez myslalem, ze ta "Kacza zupa" to jakis zart.

Drzwi - kamienna plyta bez klamek i zawiasow - odkryly przed badaczami wnetrze skalnej kryjowki. W malej komnacie nie bylo zadnego przedmiotu ani sprzetu. Zadnego napisu czy rysunku. Nic. Pusto.

-Moze to tylko przedsionek? - spytal Darlan.

-Informacja nic o tym nie wspominala. Drzwi mialy sie otworzyć, a za nimi mial byc skarb.

-Moze ten, kto zrobil zapis na chuscie, po prostu nie wiedzial wszystkiego?

-To jest mozliwe, ale... Zobacz, tu jednak cos bylo. Tylko cofnij sie troche, bo zaslaniasz swiatlo.

Rzeczywiscie, kiedy Darlan nieco sie odsunal, tez dostrzegl na podlodze slad - nieduzy prostokat wyraznie jasnieszy od reszty skaly.

-Cos stalo tu bardzo dlugo. Jakas skrzynia albo pudlo...

-I jakby to cos niedawno zabrano. Spoznilismy sie, Konnektusie.

-Wszystko stracone! I co ja, biedny, teraz poczne? Jak ja to przeżyje?! - szacowny bakalarz popadl w desperacje, zaczal marudzic i jeczec.

-Nie przesadzaj, moj drogi. Wrocisz na uniwersytet i dalej bedziesz sie zajmowal tym co zawsze, czyli jezykami dawnymi i jeszcze dawniejszymi! A na dyplom magistra zapracujesz sobie inaczej!

-Nie o dyplom mi teraz chodzi, a o honor! Ktos trzy razy mnie napadl, spalil mi dom, guzow mi na czaszce nasadzil, a ja nie moge go ukarac!

-A, to zupełnie inna sprawa - Darlan klepnal rekojesc miecza. - Jesli nie o skarb ci teraz chodzi, ale o sprawiedliwosc, to sluze pomoca! Dran ma nad nami przewage. Jesli dotrze do gospody, to pewnie porwie wszystkie biegacze, zeby nam uniemozliwic poscig. Jednak z moim wierzchowcem latwo mu nie pojdzie. Ruszamy!

I znowu popedzili przez las. Tym razem biegli w strone karczmy.

Nie dotarli do niej, bowiem znacznie wczesniej uslyszeli jakies wrzaski i piski. Skrecili w ich strone bez wahania. Po chwili ujrzeli dziwny widok.

Lasem bieglo pieciu karlupcow. Malcy wyciagali swe krotkie nogi, jak umieli. Ale - umowmy sie - ciezko sie biega po lesie z workiem trzy razy wiekszym od siebie i z brzuchem, ktory w ciagu ostatniego dnia pochlonal nieprzeliczona ilosc kaszy. Chyba tylko wielki strach dawal karlupcom sile. Mieli sie czego bac. Za nieszczesnymi zarlokami, wyjac, tupiac i przeklinajac, bieglo dwoch brodatych drwali wymachujacych wielkimi siekierami. Darlan pomyslal, ze gdyby byl karlupcem, to na pewno zaczalby sie teraz trzasc ze strachu.

-Stojcie, zlodzieje! - wrzeszczeli drwale. - Oddawajcie skarb!

Darlan i Konnektus spojrzeli po sobie ze zdumieniem. A wiec to tak? A wiec w tej grze brali udzial zarowno kartupcy, jak i drwale?!

Karlupcy nagle skrecili i biegli wprost na Darlana i Konnektusa. Mieli blade twarze i przerazone oczy. Worki na ich plecach podskakiwaly - lup, lup - a Darlan dalby glowe, ze na dodatek pod grubym plotnem cos jeszcze, samo z siebie, sie porusza. Rycerz i bakalarz nawet nie zdazyli sie cofnac. Karlupcy dostrzegli w koncu nowych przeciwnikow. Tego bylo chyba za wiele jak na ich nerwy i sily. Zatrzymali sie raptownie, zrzucili worki na jeden stos, sami usiedli obok niego. Ciezko oddychali, a na ich twarzach malowal sie wyraz rezygnacji. Zasapani drwale rowniez wyhamowali. Ale nie opuscili toporow. Spod czarnych krzaczastych brwi groznie lypali to na karlupcow, to na rycerza i bakalarza.

-A wy czego? - spytal jeden raczej niezbyt grzecznie.

-Co tu sie dzieje? - Darlan odpowiedzial pytaniem. Na pomoc Konnektusa w walce nie mogli liczyc. Tamtych bylo dwoch, wielkich i silnych jak tury. Ale on byl rycerzem pasowanym osobiscie przez krola, mial miecz i ukonczyl miedzynarodowe szkoly fechtunku.

Tak, powinien bac sie drwali. Ale oni powinni bac sie jego jeszcze bardziej.

-Lapiemy złodziei - powiedział drugi drwal. Miał dziwny akcent, ale słowa wymawiał poprawnie. - Jestecie ich kumplami?

-Spotkaliśmy ich w gospodzie tak jak was - odpowiedział Darlan. - A wy tu nie przyszliscie po to samo co oni?

-My? - zaśmiał się drwal, a jego czarna broda zafalowała.

-Panie - piskliwym głosem odezwał się jeden z karłupców. - Ratuj biedaków z rak tych rzeźmieszek! Napadli na nas, spokojnych kupców, i gonia po wertepach, jakbysmy byli jakimis zającami. Nie mamy nic wspólnego z żadną kradzieżą!

-To dlaczego się z workami po lesie wolicie, co?

-A bo to już się wolic nie wolno? - parsknął karłupiec. - Kupcami jesteśmy. Zwachaliśmy, że coś tu się ciekawego szykuje, to chcieliśmy pohandlować. Interes musi się krecić, nie?

-Tylko swój towar masz, powiadasz, konusie? - drwal podszedł do worków. Wziął tobole, zajrzał do środka. Coś tam się znowu pod płotnem ruszyło. Drwalowi twarz pobielala, szybko odrzucił worek i cofnął się o dwa kroki.

-Faktycznie, skarbu nie ma! Jeśli nie oni - drwal spojrzał na Darlana - to znaczy, że to wy! Widziałem u was plany, widziałem, jak ten szkieletowały się czaić pod oknem!

-Jaki szkieletowały? - zaperzył się Konnektus. - Na siebie popatrz, goblinoidzie! Nie znaleźliśmy skarbu! Skrytka w skale była pusta!

-No dobrze - spokojnie powiedział drugi drwal. - Teraz mamy dowód. Otwieraliscie skrytkę!

-Ale nic w niej nie znaleźliśmy! - odparł Darlan. - A wy to co, niewiniatka? Tylko udajecie drwali. W karczmie język drwaliśki naśladowaliscie, ale wokół waszego obozu drzewa są spokojne. Coście za jedni?

Zapadła cisza. Niby-drwale spojrzeli po sobie, mocniej chwycili styliska siekier, zmrużyli oczy. Wiatr szarpał ich skoltunionymi, czarnymi włosami i brodami. Karłupcy cichutko i powoli, by przypadkiem nie zwrócic na siebie niczyjej uwagi, zaczęli odpelzac na boki. Oczywiście worki ciągnęli za sobą. Darlan wyciągnął miecz z pochwy.

-Ja wiem, co oni za jedni - głos Konnektusa przeciał cisze. - Znaki na waszym szalacie to jest prastare pismo. I te wasze fryzury! Wy jesteście strażnikami skarbu. Jesteście potomkami plemienia Czarnobrodych.

Zapadła cisza.

-Duzo o nas wiesz, szkieletowaly - powiedzial powoli jeden z mezczyzn.

-To nie my zabralismy wasz skarb.

-W takim razie kto?

I wtedy gdzies z boku, zza krzakow i drzew, rozlegl sie glosny, falszywy i nieco piskliwy spiew:

Podla zdrada to owada,

Gdy owada owad zjada.

Gwaltu! Rety! Biada! Biada!

Owad do obiadu siada!

Bierze noz, aromat bada,

Sztuczna szczeke szybko wklada,

Pozrec brata chce owada!

Wielka to owadow wada!

Spiew stawal sie coraz glosniejszy. Wszyscy - drwale, karlupcy, Darlan i Konnektus - jak zaczarowani wpatrywali sie w szeleszczace coraz blizej zarosla.

I nie znajdziesz na to rady,

Ze owady zra owady.

Nie pomoga maskarady,

szpady, zwiady czy roszady.

Wiec strach co dzien pada blady

Na entomologow rady,

ze troficzne te układy

stad owadow zniszcza sklady.

Spomiedzy krzakow wprost na szykujacych sie do walki ludzi wymaszerowal Klimek. W jednym reku trzymal peto kielbasy, w drugim lniany woreczek, fioletowo przybrudzony. Kiedy zobaczył drwalskie topory, od razu zamilkł.

-Ja... ten tego... tamtego... To mnie już nie ma! - odwrócił się, żeby dać dyla.

-Stój, Klimku! - głos Darlana zatrzymał go w poł kroku. - Co ty tutaj robisz?! Kazalem ci iść do domu!

-I szedłem, szedłem, panie. Ale po drodze znalazłem pole jagodowe. No to pomyślałem, czemu mam nie nazbierać? Mama będzie zadowolona. A potem znalazłem namiot, znaczy się czyjs oboz. To go sobie obejrzałem i... no... wzięłem sobie kawałek kielbasy, bo od tego lazenia po lesie to zem zgłodniał. Mama odda.

-Co odda?

-No, kielbase. Więc to nie kradzież, tylko pożyczka. Temu chudemu zielarzowi. Bo to był jego namiot.

Darlan spojrzał na drwali. Ci od razu pojęli, o co chodzi.

-Roslinozerca! Miłośnik przyrody! Psia jego sierść! - wrzasnął jeden. - Oszust! Pewnie już się dobiera do wierzchowców przy karczmi! Biegiem!

-Co ja wiewiorka jestem? - rozmarudził się Konnektus. - Żeby co chwila po lesie ganiac! Albo dzik jakiś czy co?

-To Jan Marcepan zabrał skarb! To oszust! Biegnij i ty, Klimku, on tam może coś złego twojej mamie zrobić!

Cała gromada znów popędziła przez las. Wkrótce grupa zaczęła się dzielić. Z przodu pedził jeden z drwali, Darlan i chłopiec, nieco za nimi drugi drwal, a dalej karłupcy z workami (czy może worki z karłupcami) i Konnektus. Kiedy dobiegali już do samej granicy lasu, a między drzewami mignęły zabudowania, usłyszeli dochodzący od strony karczmy krzyk. Strachu, bólu i przerażenia.

-Mamo! - wrzasnął Klimek i przyspieszył.

-To lajdak! - zdolał tylko wysapać Czarnobrody.

-Nie dam rady - wystękał Konnektus.

Na szczęście ich przypuszczenia nie okazały się słuszne. Kiedy wybiegli z lasu, zobaczyli taką oto scenę. Tuż przed stajnią stał troll pomnikowy. Zastygł w tradycyjnym bezruchu, na jego twarzy malował się uśmiech zadowolenia. U jego stóp leżała mała, Isniaca dziwnym blaskiem skrzynia. Jedną ręką troll podpierał się pod bokiem. Drugą miał wyciągniętą do przodu. W palcach, niczym w kamiennych kleszczach, tkwiła chuda szyja Jana Marcepana Gibbonusa. Falszywy zielarz wilił się, pokrzykiwał, okładał trolla piściami, próbował rozewrzeć jego palce - bez skutku. W otwartych drzwiach stajni oberzystka uspokajała

przestraszone biegacze, co jakiś czas odwracając się tylko do trolla i powtarzając:

-Trzymaj go, Gaptus, trzymaj lobuza!

Wszyscy siedzieli w gościnnej izbie oberży, a gospodyni co chwila wносиła na stół nowe smakowitości (wszyscy oprócz Jana Marcepana, rzecz jasna, bo Galigapter ciągle się na niego gniewał i nie raczył go puścić). Gospodyni szybko opowiedziała, co zdarzyło się w gospodzie. Ziolarz wbiegł tu zadyszany, pod pachą sciskając małą kolorową skrzynkę. Chciał wyprowadzić ze stajni biegacze, ale Darlanowy rumak się zaparł. Na ten rwetes przyszła gospodyni i próbowała udaremnić kradzież wierzchowców. Wtedy Gibbonus ją zaatakował. Nim ją schwycił, związał i zakneblował, zdążyła krzyknąć "Ratunku!". Nagle ziemia lupnęła, rozległo się głośne westchnienie, szamoczących się ludzi przesłonił cień. Gibbonus spojrzał w górę i oblicze radykalnie mu się wykrzywiło. Chwilę później troll, który ruszył ze swego kilkudziesięcioletniego miejsca parkingowego, chwycił złodziejczkę za szyję.

-No i tak go dalej trzyma, gangstera - zakończyła swą opowieść oberzystka. - Myślicie, szlachetni panowie, że puści go w ciągu najbliższych trzydziestu lat?

W międzyczasie Gibbonus przyznał się, że to on podejrzwał Konnektusa w akademickiej bibliotece. Szukał informacji o rzadkich ziołach, kiedy ujrzał, jak podekscytowany Konnektus wyciąga ze starej księgi jeszcze starszy list. Potem śledził bakalarza, ukradł mu mapę i podpalił dom. Oczywiście to on także zaatakował nieszczęsnego akademika pierwszej nocy i związanego wrzucił do dołu.

Swoją historię opowiedzieli też Czarnobrodzi drwale, na wstępie przeprosiwszy Konnektusa za nocny atak - wzięli go po prostu za złodziejczkę.

Byli ostatnimi potomkami dawnego ludu. Ich rodzina mieszkała daleko stąd, od pokoleń żyjąc w świecie, w którym o plemieniu Czarnobrodych nikt już nie pamiętał. Jednak zawsze, gdy jakiś człowiek natrafiał na trop skarbu, jeden ze starych rodzinnych amuletów sygnalizował to. Wtedy delegacja Czarnobrodych przybywała w okolice kryjówki skarbu i pilnowała tajemnicy. Ostatni taki wypadek miał miejsce dwadzieścia lat temu. To wtedy została sporządzona notatka, którą Konnektus znalazł na plotnie. Owcześniejszemu poszukiwaczowi wysłannicy Czarnobrodych podrzucili sakiewkę z kilkunastoma starymi monetami i złotymi ozdobami. Wyjechał stąd przekonany, że odkrył prawdziwy skarb.

-A co naprawdę jest w tej skrzynce? - spytał Konnektus. - Musicie mi to powiedzieć!

-Wcale nie złoto - powiedział jeden z Czarnobrodych. - Ale coś od złota cenniejszego. Patrz.

Wymówił zaklęcie w swoim języku i wieko kuferka się otworzyło. W środku leżała księga.

-To kronika! - wyjaśnił. - Kronika Czarnobrodych! Przez tysiąc lat leżała w tej kryjówce

zabezpieczona przed barbarzyncami i upływem czasu. Tak dobrze strzeżliśmy historii naszego ludu, że wszyscy o niej zapomnieli. Czas to zmienić. Czas, żebyście dowiedzieli się, kim byli i jakich wspaniałych czynów dokonali w przeszłości nasi przodkowie. Chcemy ci podarować te księgi, Konnektusie!

-Te kroniki? Mnie? - bakałarz aż podskoczył na ławie. - Stara księga! Pradawna wiedza! Zaginiona cywilizacja! To skarb, prawdziwy skarb! Cenniejszy niż złoto i klejnoty!

-A co z wami, z waszym rodem? - spytał Darlan. - Kiedy oddacie księgi Konnektusowi, sens waszego życia zniknie. Utraciecie cel.

-Może tak, może nie. - Czarnobrody uśmiechnął się. - Czy myślisz, że spędzenie życia na ciągłym czuwaniu jest takie przyjemne? Ja na przykład zawsze chciałem mieć dużo czasu na malowanie obrazów.

-A ja uwielbiam łowić ryby - powiedział drugi Czarnobrody. - I teraz mam zamiar zająć się tym zawodowo, na całego.

Historie, w których na koniec wszyscy są zadowoleni (nie liczymy tu oczywiście szanownego Jana Marcepana, który, zdaje się, ciągle stoi na dworze), zdarzają się bardzo rzadko. Jednak czasem się zdarzają i to właśnie jest przyjemne w życiu.

Zaraz, zaraz! A dzielny troll pomnikowy, który udaremnił niecne knowania zielarza? Czy dalej będzie sterczał przy rzadko uczeszczanym trakcie i chudł z dziesięciolecia na dziesięciolecie?

-Mam pewien pomysł na rozwiązanie sprawy Galigaptera - powiedział Darlan, zegnając się z gospodynią. - Jak rozumiem, troll nie chce ruszyć do miasta, bo zawarł kontrakt z panią dziadką, a honor nie pozwala mu złamać przyrzeczenia? O ile dobrze zrozumiałem, pani nie podziela jego obiekcji.

-Jest dokładnie tak, jak szanowny pan mówi - kiwnęła głową oberzystka.

-No to niech pani złamie umowę! Niech to pani zerwie kontrakt i wymowi mu ten kawałek ziemi, na którym stoi.

-Jak to tak, szanowny panie? - chwile zajęło jej zrozumienie pomysłu. - Aha! Jak ja mu wymowie, to on nie będzie musiał wypełnić swojej części obietnicy i będzie mógł powędrować do miasta! To jest myśl!

-A więc do zobaczenia - uśmiechnął się Darlan i klepnął biegacza. Wierzchowiec powoli ruszył lesnym traktem. Jednak jeszcze przez dłuższą chwilę Darlanowi nie dane było zaznać lesnej ciszy. Od strony gospodyni dobiegały go bowiem głosne narzekania gospodyni:

-Jakże to tak, małego mojego Gaptuska mam wyrzucić? Do miasta posłać? Od

czterdziestu lat u nas stoi! I teraz co, z tego kawalka ziemi mam chudzine wygonic? No tak, ale jak nie wyrzuce, to schudnie jeszcze bardziej...

Chwilami Darlan slyszal tez okrzyki karlupcow obskakujacych Konnektusa:

-Pohandlujmy! Ty masz ksiazke, a my worki! Handel jest dobry! Trzeba sie targowac! Pohandlujmy!

I dalekie wrzaski wciaz stojacego w dosc niewygodnej pozycji Jana Marcepana Gibbonusa:

-Puszczaj, ty granitowy osle, no, wez te paluchy! Ech ty...

Darlan sie usmiechnal. Byl bardzo zadowolony, mozna by powiedziec - szczesliwy. Wszak dla blednego rycerza od dobrze rozpoczetej przygody lepsza jest tylko przygoda dobrze zakonczona.

NIEMA JAK TRADYCJA

Droga wila sie miedzy wzgorzami, biegla przez debowe zagajniki i brzozowe laski, przecinala male strumyki, omijala pola. Czasami zblizala sie do ludzkich siedzib tak bardzo, ze Darlan czul zapach dymu z kominow. Bylo cieplo, a jesienne slonce zaczynalo juz zlocic na drzewach liscie. Darlan uwielbial wedrowac takimi pustymi i kretymi drozkami przy takiej wlasnie pogodzie. W zasadzie nie mial konkretnego celu - przed zima chcial dotrzec do portow na morskich wybrzezach. Nigdy tam jeszcze nie byl, a slyszal wiele o swietnosci miast, w ktorych mozna bylo ponoc zobaczyc wspaniale budowle, kupcow z dalekich krain i wielkie okrety. Ostatnie miasteczko opuscil przed trzema dniami i od tego czasu spotkal tylko kilku wedrowcow - wiesniakow idacych w odwiedziny do znajomych, zielarza szukajacego leczniczych roslin, kupca gotowego sprzedac wszystko: od pasty do polerowania zbroi po plyn na porost rzodkiewek. Tym bardziej zdziwil sie, gdy zobaczyl ogloszenie - bialy arkusz pergaminu przybity do pnia wielkiego debu. Drzewo bylo ogromne i musialo przyciagac uwage kazdego wedrowca. O ile jakis wedrowiec w ogole pojawial sie w tej okolicy. No i jesli lubil czytac w kucki, bo pergamin umocowano na wysokosci kolan.

Darlan zatrzymal swojego wierzchowca pod drzewem, zeskoczyl na ziemie i przyklekнал. Na pergaminie jakas niewprawna reka wykreslila kolorowe, choc powykrzywiane litery:

OGLOSZENIE!

DO WSZYSTKICH BOHATEROW!

POSZUKIWANY BOHATER: ODWAZNY, DOBRZE

ZBUDOWANY, BEZ WYSOKICH WYMAGAN

FINANSOWYCH I MALO UZYWANY.

POTWOR JEST STRASZNY I TRZEBA NAS URATOWAC.

OBEJDZ TRZY RAZY DRZEWO I POWIEDZ "UMPA".

Wiecej slow nie zmiescilo sie na pergaminie, a to glownie z tego powodu, ze kazda koslawka litera zajmowala trzy razy tyle miejsca, ile powinna zajmowac szanujaca sie litera jej wielkosci. Na arkuszu mozna tez bylo dostrzec kilka kolorowych plam farby. Na dole znajdowala sie okragla pieczec z napisem: "DOPUSZCZONE DO RUCHU" i zygzakowaty podpis. Wokol pergaminu Darlan dostrzegl cienka smuge blasku, zupełnie jakby brzegi plakatu leciutko swiecily. "Magiczny pergamin - pomyslal Darlan. - Zapewne postawiono tu czarodziejska brame, a obejscie drzewa i wypowiedzenie hasla jest kluczem. Bardzo ciekawe...".

Darlan uznal, ze powinien sie zastanowic. Ogloszenie kusilo - bylo dostatecznie tajemnicze i niebezpieczne, by kazdy bledny rycerz natychmiast zapragnal rozpoczac przygode. No, ale do nadmorskich miast nie zostalo juz wiele mil, droga przyjemnie wila sie miedzy pagorkami, a jesienne slonce bylo doskonałym towarzyszem wedrowki. Co wybrac?

Darlan wskoczyl na biegacza i z sakiewki wyjal zlota monete.

-Niech los zdecyduje! - powiedzial do wierzchowca. - Strona z podobizna cesarza Podpoleona: idziemy polowac na potwora. Strona z nominalem: jedziemy nad morze.

Podrzucil monete. Zablysla w sloncu, na chwile zawisla w powietrzu, po czym spadla wprost do otwartej dloni rycerza. Darlan spojrzal na nia, mruknal "aha" i cmoknal na biegacza. Zwierzak szybko obiegl drzewo, a wtedy Darlan krzyknal "Umpa!". Wierzchowca i rycerza otoczyla zaslonna rozowej mgly. Kiedy znikneia, pod drzewem nie bylo juz nikogo, a bialy pergamin szernial gwaltownie i rozpadl sie na kawalki. Poprzez magiczna brame Darlan wyruszył na tajemnicze wezwanie o pomoc. Tak bowiem zdecydowal los.

Oczywiscie warto w tym momencie wspomniec, ze dumny cesarz Podpoleon tak bardzo lubi podziwiac wlasna urode, ze bije wylacznie monety ze swoja podobizna po obu stronach.

Las zniknal - Darlan stal na lace otoczony wysoka, siegajaca piersi trawa. Nie bylo to miejsce, w ktorym Darlan kiedykolwiek byl albo o ktorym chocby slyszal. Przede wszystkim cos sie mieszal w kolorach. Blekit nieba nabieral tu nieco seledynowej barwy, po stojacym w zenicie sloncu przebiegaly fioletowe plamki, trawa byla tak intensywnie zielona, jakby ktos odmalowal ja specjalnie na przywitanie rycerza. Wsrod zieloniutkich lisci rosly kwiaty o wielkich, teczowobarwnych kielichach, posrod ktorych uwijaly sie owady o tlustych, kolorowych brzuskach i usmiechnietych pyszczkach. Owady byly zdecydowanie wieksze od tych, ktore Darlan widywal wczesniej, mialy niemalze ludzkie rysy twarzy, a niektore nosily nawet przeciwsloneczne okulary. Jeden z nich podlecial do Darlana, okrazil rycerza kilkakrotnie, w koncu nieruchomo zawisl w powietrzu.

-Pan z ogłoszenia? - spytał cichym głosem.

-Tak jakby - wymamrotal Darlan. Magiczne wrota musiały go przenieść bardzo daleko, kto wie, może nawet do innego świata. W żadnej z ksiąg, które przeczytał w czasach swojej młodości, nie było nawet wzmianki o tak dziwnych stworzeniach. Darlan wiedział bardzo wiele o smokach, minotaurach, rusalkach i grendelach. Ale o zielonobrzuchych trzmiełach wielkości ludzkiej głowy, w okularach słonecznych i na dodatek w krótkich spodenkach z szelkami, nie pisano w żadnym ze starożytnych bestiariuszy.

-Ja tu na pana czekam - powiedział owad.

-Bardzo mi miło.

-Ale nie jestem zleceniodawcą - trzmieł pogładził się po czułku. - Moja rodzina zatrudniono do odszukania bohatera. Wie pan, czarodziejska brama nigdy nie przetrzuca podróżnika dokładnie w oczekiwane miejsce. Magiczny efekt kwantowy.

-Oczywiście - Darlan pokiwał głową, jakby zrozumiał. - A daleko mnie odrzuciło?

-Na szczęście nie. Ale dość długo czekamy na pana. Cała moja rodzina lata po okolicy od kilku dni. Oczywiście rozliczani jesteśmy z trzmiełodniówki, więc nie stracimy. Byłbym zapomniany, mam na imię Medard.

-A ja Darlan.

-Bardzo mi miło. Jak rozumiem, jest pan rycerzem?

-Owszem. To dobrze czy źle?

-Chyba dobrze. Wie pan, kogoś takiego szukali. Silny, z doświadczeniem i nie za drogi.

-Szukali? To znaczy kto?

-Jak to kto? Nadawcy ogłoszenia. Tuptuludki. O, właśnie ida.

Rzeczywiście, trawa za plecami Darlana zaszleściła, po chwili rozległy się też ciche głosy - nieco podenerwowane, z lekką płaczliwą i cokolwiek marudną, ale sympatyczną. Przez długi czas Darlan nie mógł dostrzec nadchodzących istot, mimo że doskonale widział falujące czubki rozgarnianej przez nie trawy. Dlaczego tak się dzieje, zorientował się dopiero, gdy tuptuludki znalazły się tuż obok niego. Po prostu były bardzo małe, sięgały mu co najwyżej do połowy uda. Miały krótkie, tłusciutkie, nieco krzywe nóżki, małe dłonie o kragłych paluszkach i pyzate twarzyczki. Ubierały się w obszerne porcieta na szelki zdobione kolorowymi haftkami, mnóstwem zatrząsków i kieszeni. Na stopach miały sandały.

Tuptuludki skupiły się w kilkunastoosobowej gromadzie i zamilkły, wpatrując w Darlana

swymi blekitnymi oczami. Tylko jeden szczegol nie pasowal do lagodnego wygladu tuptuludkow. Kazdy z nich sciskal w reku bron - kawalek kija, proce lub luk. Kilku mialo nawet pistolety na przyssawkowe strzalki.

W koncu z gromady wystapil tuptuludek, wygladajacy na szefa.

-Wezwales nas, Medardzie.

-Tak, gdyz ten tu, wielkolud na biegaczu, twierdzi, ze przeczytal wasze ogloszenie. Poniekad mu wierze, bo na wlasne oczy widzialem, jak sie razem z wierzchowcem pojawil nagle na tym kawalku laki.

-Nazywam sie Darlan - spokojnie powiedzial rycerz, widzac, ze tuptuludki sa bardzo podenerwowane. - Przeczytalem ogloszenie i jestem.

-Chlopaki, no - zniecierpliwil sie Medard. - Rycerz jak malowanie. Biegacza ma. Miecz ma. I wasy. Dobrze mu z oczu patrzy. Bierzecie go czy nie?

-Zaraz, zaraz - Darlan troche sie zniecierpliwil. - Ja nie jestem koza, ktora sie kupuje na jarmarku. Ktos ma klopoty. Jestem gotow pomoc. Ale widze, ze to albo dowcip, albo, kto wie, moze nawet prowokacja!

-Wybacz, szlachetny rycerzu - powiedzial tuptuludek. - Masz racje, nie powinniśmy cie tak przyjmowac. Ale nie jestes pierwszym, ktory przybyl tutaj, zapewniajac, ze chce nam pomoc. Kilku juz bylo, a kazdy okazywal sie nie dosc, ze tchorzem, to jeszcze wydrwigroszem i zlodziejaszkiem. Na ich transport w te strone i odsylanie z powrotem zuzylismy prawie cala magiczna energie naszej wioski. Juz nawet zaczalismy likwidowac ogloszenia i wtedy ty sie zjawiles. Chyba natrafiles na ostatnie z nich. Nie jestesmy niegoscinni ani zle wychowani. Po prostu mamy klopoty. Straszne klopoty. Na naszej ziemi pojawil sie potwor, a my jestesmy za slabi i za rnali, by go pokonac. Bardzo cie przepraszamy, rycerzu.

-Pomoge wam pokonac potwora, ale musicie mi wszystko opowiedziec - powiedzial Darlan. - I zaufac, tak jak ja zaufalem waszemu ogloszeniu.

-Oto nasza osada i nasze pola - powiedzial dumnie dowodca. Tuptuludki uwielbialy dlugie i pokrecone imiona, a on jako ich szef mial oczywiscie jedno z bardziej skomplikowanych. Zaczynalo sie tak: Absolutnie Rewelacyjny Bohater Umozliwiajacy Zwyciestwa.

-Mozesz na mnie mowic Arbus - zaproponowal tuptuludek po prezentacji. - Szczerze mowiacy czasami sam zapominam koncowki swojego imienia. No coz, tradycja to tradycja.

Tuptuludki mieszkaly na drzewach. Starsze i bardziej dystyngowane budowaly swoje domki w poteznych konarach. Mlodsze, bardziej skore do zabaw, konstruowaly domy-hustawki podwieszane do galezi na grubych sznurach.

-Ostatnio dobrze nam się powodziło - objaśniał Arbuz. - Przyrost, ten, no, demograficzny był spory, a nowe wielkie drzewa nie rosną tak szybko. Stąd wzięła się moda na domki bujane, podwieszane do już zajętych gałęzi. W zasadzie mieszka się w nich całkiem przyjemnie. Chyba że... - zawahał się.

-Chyba że co? - zaintrygował się Darlan.

-Chyba że wiatr za mocno wieje.

-A nie możecie budować domków na ziemi?

-Na ziemi? - Arbuz wyraźnie się zdziwił. - Ziemia to nie jest miejsce dla przyzwoitego tuptuludka. Zresztą spróbuj zostać na noc na ziemi, mając osiemdziesiąt centymetrów wzrostu! Szybko skończysz w brzuchu wygłodniałego wilka.

-A mówiles, że ostatnio wam tu się dobrze powodziło i że żyjecie bezpiecznie.

-No, od dwustu lat może tak. Ale wcześniej nasi przodkowie, dumne, ale niecywilizowane tuptuludki, musiały walczyć z wieloma przeciwnościami losu, zanim założyły swoje siedziby. Na noc najchętniej chowały się na drzewach. Więc to tradycja, panie rycerzu.

-Ale raczej niezbyt mądra, szczególnie w sytuacji wyżu, jak to raczyłeś ująć, demograficznego.

-Popatrzcie no - Arbuz trochę się zirytował - niby to, że wy, rycerze, jesteście tacy nowoczesni! Te wasze tradycje to niby lepsze. Zobaczysz na wieży kawałek księżniczki, choćby paskudnej, i już musisz leżeć na górze. Smoka ujrzysz, to choćby był wegetarianinem, od razu musisz go kopać kolanem! Zatrąbia gdzieś o turnieju, już galopujesz, żeby się z kolegami zelaństwem po gnatach okładać. Kaze ci ktoś to wszystko robić?! Nie. Tradycja!

-Poddaje się - mruknął Darlan. - Piękne macie te pola.

-To nasza duma. I źródło utrzymania. Kiedy je stracimy, to będzie koniec.

Tuptuludki trudniły się ogrodnictwem. Wokół drzewnego gaju, w którym znajdowały się ich domostwa, rozciągały się pola uprawne, sady i ogrody. Darlan widział grzedy pomidorowych krzaków o wspaniałych czerwonych owocach. Obok złożyła się kukurydza, dalej pola buraków, rzepy, kapusty (kolorowe - bo tuptuludki z powodów estetycznych sadziły na przemian kapustę białą, czerwoną i zieloną). No i największa duma całej osady - pole dyni.

Dynia to skarb tuptuludków, największy ich przysmak, obiekt uczuć, wyzwanie dla hodowców, materiał dla kolekcjonerów, natchnienie dla artystów. W panteonie tuptuludkowych sław figurowali farmerzy, którzy wyhodowali wielkie dynie, poeci, którzy o dyniach ułożyli najpiękniejsze wiersze, kuchmistrze potrafiący przyrządzić dynie na tysiące

sposobow i obzartuchy, ktorzy tych potraw mogli zjesc najwiecej w czasie jednego obiadu (zazwyczaj przedluzanego po podwieczorek i do kolacji, a czasem nawet do nastepnego sniadania). Ostatnio na przyklad wielka popularnoscia cieszył sie przeboj artysty o imieniu Strasznie Zazwyczaj Czesto Zawodzacy Albo Wrzeszczacy. Piosenka szła mniej wiecej tak:

Na pagorku i w kotlinie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Niech nam dynia nie zaginie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Wśród przyjaciół i w rodzinie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Dynie w proszku, dynie w płynie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

W szkole, w domu, w maglu, w kinie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Oprocz dyni wszystko minie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Na Wielkanoc! W Halloweenie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

I tak dalej. Piosenke śpiewali, gwizdali, pomrukiwali wszyscy - od małych tuptuludków ledwie co przyniesionych przez biedronki (bo tak właśnie tuptuludki pojawiają się na świecie) po starców przygotowujących się do przemiany w nasionko dmuchawca (bo tak właśnie tuptuludki znikają z tego świata).

Poznawszy znaczenie plantacji dyni dla dobrego samopoczucia tuptuludków, Darlan tym bardziej rozumiał grozę sytuacji i desperację, z jaką mieszkańcy osady poszukiwali ratunku.

-Zobacz - Arbuz pokazał Darlanowi zniszczenia. - Każdej nocy kolejny kawałek naszej ziemi z urodzajnego pola przemienia się w taki ugor. To ślady łap i ogona potwora, a niech no tylko ktoś stanie mu na drodze...

Rowna linia dyniowych grzadek załamywała się. Ziemia była czarna i pobrużdżona. Walły się w niej zablocone fragmenty dyn, strzepy pedów, polamane podporkowe patyki i potrzaskane plotki. Pole we wszystkie strony przecinały głębokie koleiny, w ziemi tkwiło kilka łsniących i wielkich jak dłoń człowieka łusek, kory drzew przecinały ślady pazurów.

-To jego sprawa. Te zniszczenia, zmarnowane rośliny, zryte pola. Obsadzilibyśmy i obsiali je znowu, ale przecież następnej nocy on znowu tu przyjdzie.

-Jak dawno pojawił się w okolicy?

-Rok temu. Wtedy nasi bartnicy natknęli się w puszczy na jego ślady. Początkowo nie opuszczał lasu. Potem jednak odkrył nasze pola i to, że jesteśmy za mali, żeby ich skutecznie bronić. Jest gigantyczny, gruboskóry i paszczekowaty. To najgorsza dla nas odmiana smoka. Dyniozarł!

-Dyniozarł?! - westchnął Darlan. - Słyszałem o tych potworach z pradawnych czasów. Rzeczywiście są bardzo niebezpieczne. Ale w moich stronach nie widziano ich od wielu lat.

-Twoje strony, rycerzu, są bardzo daleko. Kto wie, czy nie za siódmym morzem. Kiedy wysyłaliśmy naszych kurierów z plakatami poprzez utworzone w wiosce magiczne przejścia, staraliśmy się rozprowadzić ich po całym znanym nam świecie. A także po jego okolicach. Czy to prawda, że niebo u ciebie ma dziwny błękitny kolor, a słońce jest po prostu żółte?

-Tak się złożyło, widocznie ktoś źle pomieszał farby - uśmiechnął się Darlan.

-To co, bierzesz te robote?

-Powiedz mi jeszcze coś o moich poprzednikach.

-Złodzieje, oszusti i tchorze! - oczy Arbuza roziskrzyły się gniewem. - Gdyby nie to, że my, tuptuludki, jesteśmy z natury łagodne, to marny byłby ich los. Wszystkich odesłaliśmy z powrotem...

Arbuz zamilkł na chwilę, po czym uśmiechnął się i wesoło mrugnął do Darlana.

-No, może niezbyt dokładnie w te same miejsca, z których do nas przybyli...

-A co z nagrodą?

Tuptuludek zasepił się.

-No tak, wiedziałem, że do tego dojdzie. Dlaczego wy, najemnicy, zawsze musicie popsuć mi rozmowę, pytając o pieniądze?

-Może dlatego, że najemnicy pracują dla pieniędzy. Ale ja nie jestem najemcą, drogi Arbuze. I niekoniecznie o pieniądzu mi chodzi. Jednak za dobrze wykonaną pracę należy

sie zaplata. Jesli zlamiemy te zasady, to nasz swiat upadnie. Co wiec proponujesz?

-Sam rozumiesz, rycerzu, jestesmy rolnikami. Nie dysponujemy gotowka. Wszystko, co mamy, to nasze domy, pola i odrobina magii.

-W porzadku. Oto moja oferta. Kazdej zimy, kiedy u nas spadna sniegi, jadamy tylko chleb, kasze i mieso. Wtedy zawsze mam najwiekszy apetyt na swieze jabluszko i pomidorka. Ja pokonam dla was dyniozarla, a wy co roku w srodku mojej zimy przeslecie mi magicznie dwa kosze pelne swiezych owocow i jarzyn. Co ty na to?

Oczy Arbuza zalsnily z radosci. Wyciagnal do Darlana swoja mala lapke.

-Niech bedzie. A od siebie dodam, ze zaopiekujemy sie twoim biegaczem, jesli dyniozarl cie... ten tego...

-Skonsumuje - uprzejmie dodal Darlan, patrzac, jak zachodzi dziwne, pomaranczowe, pokryte fioletowymi piegami slonce.

Nadchodzila noc, a wraz z nia czas potwora.

Dudnienie ziemi rozleglo sie jeszcze przed polnoca. Obudzone tuptuludki szybko naciagaly swoje pumpiaste spodnie. Niektore glosno chlipaly, inne rozbiegly sie po osadzie, zajmujac wyznaczone wczesniej pozycje.

Darlan nie kladl sie spac. Dlatego tez niezbyt duzo czasu zajelo mu dopiecie zbroi, przypasanie miecza i wyprowadzenie ze stajni biegacza. Wskoczyl na siodlo. Biegacz zarzal ze strachu. Darlan uspokajajaco poklepal go, podrapal za uszami, pogladzil jedwabiste futro na szyi. Zwierzak wyraźnie sie uspokoil. Towarzyszył wszak swemu panu w wielu niebezpiecznych sytuacjach i nigdy nie spotkalo go nic zlego.

-Ruszamy - powiedzial cicho Darlan. - Tylko uwazaj na maluchy.

Kiedy rycerz dotarl do granicy osady, obejrzal sie za siebie. Tuptuludki biegaly z pochodniami, ktos plakal, ktos inny krzyczal. Darlan dostrzegl tez Arbuza. Wodz tuptuludkow stal na konarze wysokiego drzewa. W reku trzymal pochodnie i patrzyl za odjezdzejacym rycerzem. Darlan pomachal mu reka i zanurzyl sie miedzy wysokie lodygi kukurydzy. Nie widzial przed soba drogi. Jechal tam, skad dochodzily glosne porykiwania i gdzie ziemia trzesla sie najmocniej.

Na szczescie geste lany kukurydzy oslanialy rycerza przed wzrokiem i wechem potwora. Dzieki temu Darlan mogt podjechac bardzo blisko monstrum. Dyniozarl mial piec metrow wzrostu i dziesiec dlugosci. Na grubej mocnej szyi kolysala sie duza gfowa z wylupiastymi oczami i wielka paszczeka, w ktorej lsnil rzad snieznobialych zebow. Skore pokrywaly rzedy lusek, wzdluz grzbietu rosly ostre kolce. Mial trzy niezgrabnie zaplecione warkoczyki i niezbyt rowno przycieta kozia brodke. Stal na czterech lapach, ale przednie dwie byly

chwytne. Ciało dyniozarka było kolorowe, pokryte różnobarwnymi smugami, jakby ozdobił je malarz z poważną wadą wzroku. Ogon sterczał do góry, a sam jego koniuszek lekko się wyginał. Do ogona przyłączone były łopaczki na wietrze chorągiewki.

Potwór właśnie zerwał na dyniowym polu. Darlan słyszał szurkot przewalanej ziemi, trzask pekających dyni, mlaskanie wielkiego jezora, posapywanie. Nagle rycerz zorientował się, że potwór także coś mówi - cichutko, pod nosem, niewyraźnie mamrocząc. Po pewnym czasie Darlan zaczął rozróżniać poszczególne słowa i zdania.

-Głodny, głodny! Tfu! Ale ohydne! Głodny, głodny! Uwaga na maluchy! Dynia, dynia, dynia! Tfu! Nie podepcz, nie podepcz! Nie laź pod nogami! Nie krzyczec! Tfu! Dynia! Głodny, głodny!

Po wydeklamowaniu takiej kwestii potwór pochylał głowę, niczym łopata nagarniał paszczą kilka dyni, pewnie ze dwa wiadra ziemi i mnóstwo klaczy. Żuł to, miedlił w zębach, wreszcie wypluwał ziemię, kamienie i bądy. Potem znowu zaczynał marudzić,

-Tfu, tfu, tfu! Nie chodzić, nie straszyć! Zabrać dzieci! Co za dynia! Głodny, głodny!

Kiedy ruszał przed siebie, ziemia aż dudniła i uginała się, doprowadzając zapewne do rozpaczy i ostrego kryzysu mieszkaniowego okoliczne krety. Każdym kolejnym krokiem miazdzył grządki, a że nie chciało mu się podnosić za wysoko nogi, to ryl w ziemi potężne bruzdy.

-Zły, zły! Co za kłopot! Dynia i dynia! Maluchy idźcie sobie!

Darlan chętnie pozostałby jeszcze w ukryciu, żeby móc dłużej obserwować stworzenie. Szukał na jego ciele słabszych, nieosłoniętych łuskami miejsc, próbował ocenić, jaki zasięg mają zakończone pazurami łapy i jak sprężysty może być ogon. Jednak nie dane mu było dłużej pozostać niewidocznym obserwatorem. Oto dyniozarkę zatrzymał się nagle, rozszerzył nozdrza i wywalił długi język. Jego szyja przez chwilę wyginała się na wszystkie strony, w końcu skierowała głowę w stronę zarośli, w których ukrył się Darlan.

"Wyniuchał mnie - pomyślał rycerz. - A więc do roboty!".

Poprawił tarczę i pochylił kopie. Delikatnym ruchem pięty dał biegaczowi znak.

-Ruszaj! - krzyknął.

Tratując lodygi kukurydzy oddzielające go od dyniowego pola, wierzchołek wypadł na otwartą przestrzeń. Pędził wprost na ciągle zdziwionego dyniozarkę. Potwór zamarł w bezruchu. W jego wielkich, czarnych, błyszczących ślepiach nie było nic oprócz trwożliwego zdziwienia.

"Co tu się dzieje? Je się spokojnie dynie, a tu wylatuje takie nie wiadomo co, błyszczące,

wrzeszczące, kolczaste! O co tu chodzi?!".

Maly rozum duzego potwora zadrzal ze strachu.

A Darlan pedzil w jego strone, ostro pochylajac kopie. Blask ksiezycy odbijal sie od zbroi, otaczajac jezdzca zlocista poswiata. Ostrze kopii wydawalo sie srebrnym zadlem wymierzonym w serce potwora. Przylbica zmieniala twarz czlowieka w dziwna i przerazajaca maske. Zaskoczony dyniozarl nie wytrzymal tego widoku. Najpierw zaslonil oczy przednimi lapami. Potem podkulil obwieszony choragiewkami ogon, odwrocil sie i zaczal uciekac. Sadzil wielkimi susami, po ktorych ziemia dygotala tak, ze Darlan z trudem utrzymywal sie na wierzchowcu.

-Nie chce! Idz, rycerzu! Idz sobie! Bo cie zjem! - krzyczal dyniozarl, z kazdym skokiem oddalajac sie od scigajacego go Darlana.

W koncu rycerz zrozumial, ze nie dogoni potwora. Zatrzymal zmeczonego biegacza i obserwowal malejaca sylwetke. W koncu zdecydowal, ze moze wracac. Pogladzil biegacza, podziekowal mu cicho za odwage i skierowal wierzchowca ku osadzie. Tej nocy potwor wiecej nie pojawil sie na tuptuludkowych polach.

Darlana przywitaly owacje i wiwaty, wkrótce rozlegly sie choralne spiewy (nie trzeba chyba dodawac, ze ich glownym tematem byla dynia). Tylko Arbuz nie przylaczył sie do swoich swietujacych przyjaciol. Kiedy Darlan zostal sam, wodz tuptuludkow podszedl do niego i spytal:

-To nie koniec, prawda, rycerzu?

-Nie koniec - Darlan kiwnal glowa. - Dzis go zaskoczylem i przestraszylem, wiec uciekl. Ale wkrótce zastanowi sie nad tym, co widzial. Pewnie niejednego rycerza spotkal juz w zyciu. Jest duzy i na pewno doswiadczony. Poza tym bedzie glodny, wiec wroci na dyniowe pole. A wtedy tak latwo juz mi z nim nie pojdzie.

-A moze wykopiemy duzy dol. Ty, panie rycerzu, wystawisz sie jako przyneta. Jak cie zacznie gonit, to przeskoczysz nad rowem, on wpadnie, a wtedy...

-A moze niech ciebie goni, co, Arbuzie? Widzialem jego lapy. On wygrzebie sie z kazdego dolu, jaki potrafimy wykopac.

-Wiem, wiem, zartowalem. Nie widzialem lepiej zaoranego pola niz po jego przejsci. Jest w stanie przerwucic cala ziemie w naszej okolicy. Zeby jeszcze mozna tam bylo cos posadzić... ale przeciez on i tak to zezre.

-Zaorac, powiadasz - Darlan zamyslil sie. - Wiesz co, mam pewien pomysl. Nie mozemy czekac. To my musimy zaatakowac potwora, poki jeszcze choc troche sie boi i nie wie, co tu sie stalo. Jutro rano wyruszam do jego siedziby. Zaatakuje dyniozarla w jego wlasnym

domu.

Darlan dawno już zostawił za sobą urodzajne pola tuptuludków. Teraz wędrował przez bezkresny step, taki sam, na jakim wylądował w tej krainie. Tyle tylko, że od najbliższego zielonego zdzbla dzieliło rycerza nie mniej niż trzydzieści kroków. Darlan jechał bowiem samym środkiem pasa trawy wydeptanej przez dyniozarła w czasie nocnych ekspedycji na pola tuptuludków. Darlan był nawet zadowolony.

-Nie muszę go tropić. Ten ślad sam mnie do niego zaprowadzi.

-Co pan, panie, toż to katastrofa, zagłada, Armagedon! - pokrzykiwał wtedy lecący obok głowy Darlana trzmiel Medard. Co chwila zsuwał z nosa przeciwsłoneczne okulary, żeby lepiej przyjrzeć się zniszczeniom. - To jest kryminalna sprawa. Pan wie, ile kwiatów on podeptał, ile owadów straciło dach nad głową, prace i źródła żywności? Oooo, teraz to lece z panem nie tylko za pensję. Teraz to sprawa honorowa, jakem trzmiel! - Medard gniewnie strzelił szelkami od spodenek i zabzyczał.

Arbuz uznał, że lepiej będzie, gdy z Darlanem polecą ktoś, kto w razie czego będzie mógł szybko wrócić do miasteczka i powiadomić tuptuludki o przebiegu wypadków. Rycerz zgodził się na tę rozsądną propozycję, tym bardziej że towarzystwo gadatliwego trzmiela bardzo mu odpowiadało.

-Jak duża jest ta wasza kraina? - spytał.

-Oj, wielgachna, drogi panie, wielgachna. Ciągnie się z północy na południe, a dodatkowo ze wschodu na zachód, wyobrazasz pan sobie? I wszędzie trawa. Tylko gdzieś tam rosną lasy, w których mieszkają tuptuludki. Oczywiście każde miasteczko jest otoczone polami. Nam, owadom, to nie przeszkadza. Nektar z ogrodów i sadów to dobre uzupełnienie diety.

-A jakieś granice, sąsiedzi?

-No są, a jakże. I granice, i sąsiedzi. Koło mnie mieszka na przykład jeden hałasliwy motyl. Wieczorami grywa na tej swojej zawiniętej trabce. Po godzinie dwudziestej drugiej! Mówię panu, co za sąsiad! Całkowicie przekracza granice dobrego wychowania, nie sadzisz pan?

Po dłuższej pogawędce Darlanowi udało się zdobyć nieco geograficznych danych. Trawiasta równina rozciągała się podobno we wszystkie strony tak daleko, że Medard nie znalazł nikogo, kto dotarłby do jej granic. Legendy mówiły, że daleko na wschodzie step styka się z morzem, na północy z gorami, na zachodzie z pustynią, a na południu z czymś białym i twardym, czego w tych okolicach nigdy nie widziano. Darlan domyślił się, że chodzi o lodowce. Jeśli ten opis był prawdziwy, to znajdował się na bardzo odległych terytoriach, których nie odwiedził wcześniej nikt z jego świata.

-I co, nie macie tu wrogów, wojen, królów?

-Kiedys byl jeden krol. Taki tuptuludek, naczytal sie starych ksiazek, tfu, zawsze mowilem, ze z tego czytania to tylko nieszczescia. Po co na przyklad porzadnemu trzmielowi czytanie? No wiec oglosil sie krolem. Najal cala bande jezy, zeby go strzegly i porzadku pilnowaly. Korone sobie zrobil i berlo. Od razu wydal rozporzadzenie, zeby tuptuludki klaniały sie mu i mowily "wasza wysokosc" albo "milosciwy panie" czy jakos tak. No i wszyscy chodzili, klaniały sie i mowili, jak kazal. Co krol, to krol. Fajnie miec krola. Tyle ze w pewnym momencie sie okazalo, ze te jeze wyzeraja tuptuludkowe konfitury i kiszona dynie. No, szanowny panie, tuptuludki sa lagodne, ale jak ktos im ruszy kiszona dynie... Zaraz pogonily jeze, a krola postaly do kopania rowow melioracyjnych. A z korony i berla zrobily zegar sloneczny. Raz w tygodniu, na godzinke, dwie, sadze, mozna by takiego krola skads wypozyczyc i mu sie klaniac. Ale czesciej - szkoda czasu. Tyle ze u nas w okolicy krolow jakos nie ma ani na stale, ani do wynajecia. A tam u ciebie, panie rycerzu, duzo ich?

-Paru by sie znalazlo - mruknal Darlan coraz bardziej zdziwiony swiatem, w jakim sie znalazl. A jednak mieszkancy tej krainy, choc tak odmienni, wydawali mu sie bardzo sympatyczni. Moze zreszta nie byli tacy inni. Przeciez wiedzieli, kim jest i czym zajmuje sie bledny rycerz. No i wladali tym samym co on jezykiem.

"Moze to dzieki temu swiat jest ciekawy, ze zyja w nim rozne istoty, ktore maja odmienne tradycje i obyczaje. Gdyby wszyscy byli tacy sami, to pewnie byloby nudno".

-To juz blizutko, patrz pan - Medard wzniosl sie wysoko ponad glowe Darlana, wiec pierwszy zobaczyl szczyty wylaniajacych sie zza linii horyzontu pagorkow. - To nie sa duze gory. Cierpliwa rodzina kretow przekopalaby je w dwa pokolenia. Ale nam dotychczas wystarczaly. Jak ktos sie chcial powspinac, to tu przychodzil. Jak ktos chcial model latajacej maszyny wyprobowac, to tu lamal sobie gnaty. A jak sie czasem zdarzylo, ze w porze deszczowej potop byl, tomy sie tu wszyscy chronili. Widac wystarczyly i te pagorki dla tego dyniozarla, a zeby wylysial paskudnik!

W koncu i Darlan dostrzegl trzy wzgorza lagodnie wznoszace sie ponad laka. Kiedys byly zapewne cale porosniete trawa. Teraz ich stoki zbrunatnialy, zszarzaly, spod zdartej lapami dyniozarla ziemi wylonila sie gola skala.

-Tam, za tym najwyzszym wzgorzem, jest kotlinka. Troche drzew, strumyk z czysciutka woda. Pewnie tam sobie paskudnik uwil gniazdko. Ech, co ja z tych nerwow plote? Gniazdko? Raczej gniazdo. Gniazducho! Gniazduszysko!

-Sza! - Darlan przylozyl palec do ust. - Jesteśmy na terytorium wroga. Zarzadzam cisze w eterze!

-W czym, szanowny panie? - Medard zawisl tuz przed twarza Darlana. Rycerz chwycil go reka za szelki od spodni i przyciagnal do siebie.

-Masz byc cicho, przerosniety szkodniku! Cicho! Albo fruway stad!

-Dobra, dobra - wymamrotal Medard, a kiedy Darlan go puscil, odskoczył na bezpieczna odleglosc i poprawil pogniecione portki. Po czym cichutko zaczął: - I moze prosilbym, szanowny panie, przyzwoitego trzmiela nie wyzywac od...

Zamilkl stropiony groznym spojrzeniem Darlana, ale jeszcze bardziej tym, ze z oddali dalo sie slyszec posapywanie. Jeszcze ciche, jeszcze odlegle, ale bez watpienia wskazujace miejsce pobytu wroga.

Wrog lezal na plecach i drzemal. Faktycznie urzadzil sobie legowisko w przyjemnej kotlinie, ocienionej wysokimi sosnami, przecietej chlodnym i krystalicznie czystym strumieniem. Dyniozarl spal, poswistujac przez nos. Przednie lapy mial zlozone na brzuchu, oczy zasloniete bloniatymi powiekami, ogon z choragiewkami owinal sobie wokol prawej nogi. Pod glowe wlozyl wielki zielony plecak wypchany owalnymi ksztaltami. Darlan domyslil sie, ze to dynie zbierane przez potwora na zapas.

-Spi w dzien - szepnal Darlan do Medarda. - W nocy rabuje.

-No, to trzeba go podejsc - podpowiedzial trzmiel - i dachnac czyms ostrym. Idealna okazja.

-Nie moze atakowac spiacego. To sprzeczne z rycerskim honorem - mruknal Darlan.

-A zwiewanie w podskokach nie jest sprzeczne z rycerskim honorem? - zaprotestowal Medard. - A tylko to ci pozostanie, kiedy on sie obudzi!

-Moj drogi, co innego ustapic z pola walki na z gory upatrzone pozycje, a co innego niczym zboj napadac na przeciwnika. A jesli mu sie teraz sni cos milego?

-Faktycznie, moze mu sie snic. Popatrz, panie rycerzu, na jego gebe. Wyraznie usmiechnieta. Moze mu sie sni wlasnie, ze cie zjada na drugie sniadanie. Z serem. I posypanego koperkiem. No, idzze i dzgnij go tym mieczem! Co za durne obyczaje i skrupuly!

-Nic nie rozumiesz, drogi Medardzie. To, co czyni rycerza rycerzem, to wlasnie obyczaje i skrupuly. Jesli przestaniemy przestrzegac zasad, to staniemy sie banda najemnych zoldakow, gotowych na wszystko, byle za odpowiednia cene. Tradycja, Medardzie, to ona czyni nas tym, kim jestesmy...

Darlan zeskoczył z biegacza. Poglaskal rumaka po pysku, cos mu szepnal do ucha.

-Zostancie tu - powiedzial do trzmiela. - Obserwuj wszystko. Gdybym mial klopoty, zabierz biegacza i wracajcie do miasteczka!

Wyciagajac z pochwy miecz, Darlan ruszyl w strone spiacego potwora.

-Dobra, dobra. No, wreszcie sie zdecydowales, szanowny panie. Kolnij go, kolnij. Tylko po cichu idz, zebys go nie obudzil! Zaraz! Co ty robisz? Co ty najlepszego wyprawiasz?!

Darlan zatrzymal sie o dziesiec krokow od dyniozarla, po czym krzyknal:

-Ej! Paskudo! Pobudka! Czas na maly pojedynek!

Ziemia zadygotala, gdy potwor poderwal sie ze snu. Stanal na czterech lapach, ogon postawil na sztorc, szeroko otworzyl paszcze. Z jego oczu znikaly ostatnie mgielki snu.

-Jestem Darlan! Bledny rycerz! Obronca tuptuludkow! Wyzywam cie na pojedynek!

Dyniozarl warknal. Kropla sliny skapnela z jego pyska na ziemie, tworzac kaluze, ktora sredniej wielkoscii zaba moglaby wykorzystywac jako basen kapielowy.

-Tfu! Znam cie, znam cie! - krzyknal potwor, - Dlaczego przyszedles? Po co przyszedles?! Uwaga na malych ludzikow! Nie podeptac!

Darlan skoczyl do przodu, kolnal mieczem. Ostrze trafilo w lape potwora, ale odbito sie od opancerzonej skory. Darlan cofnal sie, cial jeszcze raz. Tym razem potwor zrobil unik z szybkościa, jakiej nikt nie spodziewalby sie po tak wielkim stworzeniu. Jego lapa przemknela obok glowy Darlana.

-Odwroc sie, kudlaty - powiedzial Medard do biegacza. - Lepiej na to nie patrz.

Rycerz znow zaatakowal. Szybkim pchnieciem trafil potwora w nos. Zabolalo, bo dyniozarl ryknal gniewnie. Podmuchi zachwial Darlanem, ale rycerz zdolal zadac drugi cios. Tym razem potwor nie poczul. Jego ogon niczym dlugi bicz wygial sie i ze swistem przecial powietrze. Trafil Darlana w piers. Rycerz przewrocil sie, przekoziolkowal, upadl na plecy.

-Wiesz co, kudlaty? - powiedzial Medard. - Ja tez sie odwroce. Razem nie bedziemy na to patrzec.

Darlan jednak poderwal sie. Stanal w pewnej odleglosci od potwora, z wyciagnietym do przodu mieczem. Magiczne, wykute przez plemie Hefajstow ostrze lsnilo w sloncu. Dyniozarl przestepowal z nogi na noge, gniewnie posapujac.

-Dynie i dynie, tfu! Znowu rycerz! Uwazaj pod nogi! Sa malutki!

Darlan sie zawahal.

-Kto jest malutki, potworze?

-Ludziki, male. W spodniach.

-Dlaczego mam na nie uwazac? Ich tu nie ma.

-Nie ma, nie ma. A może są takie małe, że ich nie widac. Ja nie chce ich zdeptać.

Darlan opuścił miecz.

-Ty, kudłaty - szepnął Medard. - Może byś tam łypnął jednym okiem? Tak ostrożnie, co?

-Nie chcesz podeptać tuptuludków? - spytał Darlan.

-O! Właśnie! Tuptuludków! One małe! One robić dobre warzywa. Tfu i dynie. Ale one dobre. Nie chce ich placzu!

-To dlaczego niszczyś ich pola?

-Głodny! Głodny! Mam duży brzuch, duży pusty brzuch. Muszę jeść warzywa. Dużo jarzyn. A przede wszystkim dynie. Taka tradycja, przecież jestem dyniozarł, nie? A ja nie znoszę dyni, tfu! Dynia niedobra.

-Nie mogłeś jakos się z nimi dogadać? Musiałeś napadać na ich pola?

-Ja jestem dyniozarł! Prawdziwy dyniozarł! Nie wiesz, że dyniozarły wymarły! Na świecie jest nas kilka albo jeszcze mniej. Nie ma, nie ma dyniozarłów! - potwór zaczął chlipać. Ogon mu oklapł, chorągiewki zwisały smetnie, a łapy zaczęły drzeć.

-Ejże, nie płacz, dorosły chłop jesteś - poprosił Darlan.

-Jak mam nie płakać? - smetnie spytał powtór. - Dziadek mówił: "Dyniozarł nie prosi! Dyniozarł bierze, co chce! To nasza tradycja, wnusiu! Nie możesz jej łamać". Tak mówił, "Wnusiu!" - dyniozarł zachlipał jeszcze bardziej. - I jak to się skończyło? Wszyscy moi krewni atakowali, grabili i pozerali. To narodziło się was, rycerzy, więcej niż mrowek. I teraz piękne skóry moich krewniaków wiszą nad kominkami w królewskich zamkach!

"Szczepnie mówiac - pomyślał Darlan - zwyczajnie na wzór waszych łusek, skóry twoich krewniaków ozdabia coś najwyższej jakości gościnie dla ubogich i zrzędlivych ciotek" - ale uznał, że nie jest to najwłaściwszy moment na objaśnianie dyniozarłowi złożonego problemu ludzkiego poczucia estetyki.

-A ja nie chciałem! Ani grabić! Ani pozerac! Ani deptać! Ja nawet dynie nie lubię! Najbardziej lubię rzepę...

-To dlaczego napadałeś na pola tuptuludków i niszczyłeś ich dynie?

-Bo jestem dyniozarł! Tak kaze moja tradycja... - zawył i rozryczał się na dobre.

-Wiesz co, kudłaty? - powiedział Medard do biegacza. - Może jednak powinniśmy powiadomić miasteczko, że rzeka wkrótce podniesie swój poziom i że polom tuptuludków grozi teraz potop?

Darlan siedział w fotelu w hustawkowym domku należącym do Arbuza. Wiatr nieco bujał lina, więc mieszkanko kolysało się miarowo, co nie wprawiało żołądka Darlana w dobry nastrój. Przez szerokie okno rozpościerał się widok na pola uprawne. Kilkadziesiąt tuptuludków mżolilo się na grządkach kapusty - pęło chwasty, pucowało kapusciane głowy specjalnymi szczotkami, dokonywało pomiarów największych okazów. W miarę jak domek kiwał się na linie, Arbuz pokazywał Darlanowi kolejne fragmenty pól.

-Tam mamy zagony z rzepa. Zobacz, skierowaliśmy na nie specjalne ekipy. Od tej pory musimy sadzić więcej rzepy.

Domkiem znów bujnelo.

-Chyba będziesz musiał mnie szybko odesłać z powrotem. Wytrzymałem spotkanie z potworem, wytrzymałem kilkudniowy zieleninowy wikt, wytrzymałem nawet towarzystwo tego gadatliwego trzmiela - Darlan wskazał na unoszącego się w kacie Medarda - ale obawiam się, że mieszkania w pokoju hustającym się przy każdym podmuchu wiatru dłużej nie wytrzymam.

-Wiele się nauczyliśmy przez te parę dni - powiedział Arbuz z uśmiechem. - Dawne obyczaje i tradycja pomagają nam zachować poczucie własnej godności i pozwalają nam pamiętać, kim jesteśmy. Ale czasem mogą też przeszkadzać w dokonywaniu dobrych wyborów. Zanim odrzuci się jakas część tradycji, trzeba się dobrze zastanowić, żeby nie uczynić głupstwa. Jednak trwanie przy niej bez względu na okoliczności też może nie być za dobre. Kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy dyniozara, od razu próbowaliśmy go zaatakować i przepędzić z naszych pól. On z kolei uznał, że jako prawdziwy dyniozarł musi niszczyć naszą ziemię i konsumować nasze dynie. A przecież od razu mogło być tak, jak jest teraz...

Domek obrócił się znów i Darlan zobaczył odległy kawałek pola. Grupa tuptuludków budowała tam duży budynek - w sam raz na noclegowisko dla dyniozara. Nieco dalej pracował przyszły właściciel tej chaty. Swoimi wielkimi łapami orał ziemię. Ogon dumnie sterczał mu do góry, a siedem nowych kolorowych chorągiewek łopotalo na wietrze. Wokół dyniozara kreciło się kilkanaście małych sylwetek. Część obsadzała zaorane przed chwilą pole, a reszta podkarmiała stworza świeżutką rzepą.

-W ciągu jednego dnia potrafi zaorac więcej ziemi niż my wszyscy w ciągu tygodnia. Pomocze nam budować tamy na rzecze i kanały nawadniające. My w zamian za to będziemy się nim opiekować, hodować dla niego rzepę i szyć piękne chorągiewki na jego ogon. I zbudujemy mu dom. Wiesz, rycerzu, że to pierwszy od stuleci dom, jaki tuptuludki stawiają na ziemi, nie na gałęzi? Na razie zamieszka w nim dyniozarł, ale kto wie, skoro jest tu już tak bezpiecznie, może i my powinniśmy zejść z drzew? Tu rzeczywiście bardzo kiwa...

Darlan się uśmiechnął.

-Na mnie już czas. Chętnie zostałbym u was dłużej, ale przed zimą chcę dotrzeć do

nadmorskich portow...

-Wiem, juz przygotowalem czar powrotny. Wystarczy, ze go wymowie, a ty i twoj biegacz znajdziecie sie kolo drzewa, na którym wisialo ogłoszenie.

-Mam jedno pytanie - wtracil sie Medard. - Czy w twoim swiecie zyja trzmiele?

-I owszem, szanowny panie - Darlan kiwnal glowa. - Ale sa zdecydowanie mniej gadatliwe i takie, o, takie malutkie.

-Phi - mruknal Medard. - W to, ze nie sa tak gadatliwe jak ja, sklonny jestem uwierzyc. Ale ze sa tak male jak koniec twojego kciuka, no, panie rycerzu, tego mi nie wmowisz!

-Do zobaczenia! - powiedzial Arbuz, po czym wymowil zaklecie. - Apmu!

-Do zobaczenia! - krzyknal Darlan, gdy obraz tuptuludkowego domku zaczal sie rozmazywac przed jego oczami. Z daleka dobiegl go jeszcze glos Arbuza:

-Zapomnialem ci powiedziec! Jesteśmy ci tak wdzieczni, ze oprócz ustalonej opłaty bedziemy ci przesyłac piekna dynie na kazde swieto Halloween!

Mgla zniknela. Darlan siedzial na swoim biegaczu dokladnie na wprost wielkiego debu, przed którym zatrzymal sie dwa dni wczesniej. Po plakacie nie bylo sladu. Zwykle zolte slonce swiecilo na normalnym blekitnym niebie. Rycerz przez chwile przygladal sie drzewu, szukajac sladow magicznej bramy.

"Halloween, a co to znowu za swieto? To chyba jakas nowa tradycja? I do czego potrzebna jest wtedy dynia?"

Darlan pokrecil glowa, westchnal ciezko i lagodnie poklepal biegacza po szyi. Czas ruszac w dalsza droge. Przed zima mieli dotrzec do nadmorskich portow, by ogladac wspaniale budowle, spotykac niezwyklych ludzi i sluchac ciekawych opowiesci. Przed nimi byla jeszcze dluga podroz.

Jezdziec powoli zniknal za drzewami. Las wktotce zapominal o jego obecności i o magii, która nie tak dawno dotknęła tego miejsca. Przez sciezke przekicat mlody zajaczek, nieopodal zastukal dzieciol, gromada mrowek uparcie transportowala w strone kopca martwa gasienice. Stary wielki dab szumial spokojnie, zadowolony ze swego statecznego zycia, a posrod jego lisci cicho brzeczaly pracowite trzmiele.

ZIMNA ZIMA

-Zima, moj kudlaty przyjacielu, to piekna pora roku - powiedzial Darlan do swojego wierzchowca. Ten zadarl leb i spojrzal na rycerza zdumionymi oczami. - Ma tylko jedna wade: zima jest zimna! Wierzchowiec parsknal radosnie, zadowolony, ze jego pan ma

jednak to samo zdanie o zimie co i on. Mimo że zielone futro biegacza zgestniało jak zwykle o tej porze roku, to jednak zwierzakowi nie w smak były nadciągające mrozy. Zima przyzwoity biegacz powinien stać w ciepłej stajni, mieć pod nosem stos siana i worek suszonych sliwek, a w sąsiedztwie mile towarzystwo innych biegaczy. A także - nie zalujmy sobie! - jeszcze jeden worek suszonych sliwek. Tak by pewnie było, gdyby w porę dotarli do celu swej podróży - jednego z wspaniałych nadmorskich miast portowych. Ale rycerz oczywiście nie mógł jechać prosto! Co chwila zmieniał marszrute, by zajmować się tymi wszystkimi rzeczami, które tak pasjonują błędnych rycerzy, a które strasznie irytują ich wierzchowce. "Czy szanujący się rycerz musi nieustannie wydobywać z opresji rusalki, kurzymisie i tycinozki? A jeśli już ma taką ochotę, to czy na wszystkie akcje musi zabierać swojego biegacza?".

Wierzchowiec wcale nie był o tym przekonany, ale nie miał wyjścia - wszak biegacz nie po to wybiera sobie jeźdźca, by go potem zostawić w potrzebie, prawda?

Najgorsze w tym wszystkim było to, że tak naprawdę zima jeszcze nie nadeszła. Był koniec listopada, a pogoda zmieniała się bardzo szybko. Jeden dzień mrozów, następny gorący. Rano śnieg, a popołudnie słoneczne. Najpewniej połowa nadwornych meteorologów porzuciła swój zawód, aby zająć się jakimś bardziej rozsądnym i przewidywalnym zajęciem, jak na przykład wrozeniem z włosów chomika czy poradnictwem sercowym dla dworaków.

-Ech, drogi kudlaczu - mruknął Darlan, chuchając w zgrabiałe dłonie. - Szkoda, że nie zabralismy ze sobą tego gargulcmoka, który ostatnio sprowadzili z drogi występku na ścieżkę moralnego rozwoju. Złapałby nam teraz ogniem i od razu byłoby cieplej.

Darlan wspominał swój ostatni rycerski sukces. Gargulcmok grasował w małej wiosce położonej w środku lasu. Stworzenie nie było ani duże, ani ładne, czyli spełniało wszystkie normy gargulcmokowej urody. Ot, coś jakby wiewiórka z bloniatymi skrzydłami i mocno paskudną facjatą. Tradycyjnie było też bardzo towarzyskie. Osiedliło się w wiosce i postanowiło zaprzyjaźnić z jej mieszkańcami. Niestety, gargulcmoki okazują sympatie tylko w jeden sposób - usiłują dać buziaka w policzek. I tu pojawiają się aż dwa problemy - gargulcmoki są tak brzydkie, że nawet przyszczate trolle niechętnie się z nimi przyjaźnią. A poza tym gargulcmoki przy każdym wydechu strzelają z pyszczków małym, błękitnym płomykiem ognia. Czy można się dziwić, że wiesniacy niezbyt tesknili za powitalnymi buziaczkami gargulcmoków? Najbardziej cierpiał wioskowy fryzjer, który pierwszego dnia gargulcmokowej wizyty stracił niemal połowę klientów. To znaczy wszystkich tych, którym ognisty oddech spalił włosy i brody. Jedyną zadowoloną osobą był sklepikarz, któremu gwałtownie wzrosły obroty w asortymencie gąbek i pasty do glansowania.

Darlan schwycił gargulcmoka, przeprowadził z nim poważną rozmowę, a następnie nawet pozwolił się pocałować. Oczywiście najpierw założył hełm. Stworzenie okazało się nad wyraz pojętne. Obiecało poprawę, postanowiło zadbać o wygląd, a na koniec najechało się u kowala jako spawarka. Zadowolony Darlan mógł więc spokojnie wyruszyć w dalszą drogę.

Zima, niestety, nie czekała i od kilku dni złośliwie napastowała wędrowców.

-Ale zimno! - znow mruknął Darlan. - Ale zimno! Jak to można wytrzymać?!

-Ale ciepło! - rozległ się nagle dziwny głos. - Ale ciepło! Jak to można wytrzymać?!

-Hm? - Darlan gwałtownie zatrzymał wierzchowca i rozejrzał się wokół. Iglaste, zielono-brunatne drzewa z obu stron napierały na lesny trakt. Ponad ich koronami rysowały się szare kontury odległych gór. Droga pod łapami biegacza była błotnista i grzaska. Mocny wiatr szumiał wśród drzew. - Albo ja nie do końca rozumiem znaczenie słowa "echo", albo to nie jest echo!

Biegacz pokiwał głową na znak, że on skłania się raczej ku drugiej możliwości. I wtedy wśród zarosli rozległo się:

-Co za nieznośne upały! Ujujuj! To mnie wykończy! Ujujuj! Koniec, po prostu koniec ze mną!

Darlan zsiadł z biegacza i pogłaskał go po szyi. Wierzchowiec parsknął. "No tak! Wiadomo, znowu się zaczyna... Zaraz, jak Darlan to nazywa? Hm... Przygoda! Tak, znowu zaczyna się przygoda! Czy ktoś rozsądny słyszał, żeby takie rzeczy robić pod koniec listopada?!".

Pojekiwanie nie milkło, wręcz stawało się coraz głośniejsze. Rycerz rozgarniał gesty krzaki, nogi zapadały mu się w wilgotnym mchu, a idący z tyłu biegacz gniewnie posapywał. Mroźne krople stracane z gałęzi co chwila kapaly na długi Darlanowy nochal. "Zimno!".

-Jak gorąco! Ujujuj! Co za upał! - jęczący osobnik był diametralnie innego zdania. - Jak śniegbumcykcyk, nie wytrzymam!

W końcu Darlan przedarł się przez gąszcz i stanął na skraju niewielkiej polany. Na samym środku siedziało i zawodziło małe stworzenie.

Z bardzo daleka można by je wziąć za białego jamnika. Przy bliższych oględzinach okazałoby się, że zwierzę jest porośnięte gęstym białym futrem, a jego dwie przednie łapy mają chwytne płace.

Nagle stworzenie ucichło, najwyraźniej wyczuło obok siebie obcego. Błyskawicznie odwróciło się w stronę Darlana. I wtedy rycerz zobaczył jeszcze jedną różnicę między jamnikiem a tą istotą. Z nosa białego puchacza sterczał całkiem długi, przezroczysty róg. Ostrze lśniło błękitem, w jego wnętrzu skrzyły się srebrzyste migotania, a szpic wydawał się tak ostry, jak ostre są języki plotkarek na królewskich dworach. Oczy stworzenia były błękitne i duże - przypominały oprawione w srebro kamienie lazurytu.

-Witaj! - powiedziało.

"Jamniki nie gadają - pomyślał Darlan. - Wciąż co to jest, u licha?!".

-Witaj! - odpowiedział grzecznie, bo grzeczność dla błędnego rycerza jest równie ważna co igły dla Jeza.

-Musisz mi pomóc! - powiedziało stworzenie, a srebrne iskiereki w jego rogu zamigotały.

Czyżby próbowało mnie zaczarować? - zastanawiał się Darlan. Posiadał wprawdzie kilka zabezpieczeń od uroków, ale z magią nigdy nic nie wiadomo. Na wszelki wypadek dotknął dłonią przymocowanej do hełmu Antymagicznej Zaczepno-Obronnej Zajęczej Łapki, którą otrzymał od zaprzyjawnionego wykładowcy Uniwersytetu Nauk Ścisłych. Uczony ten, posiadacz wielu magicznych fakultetów, prowadził też samodzielne wykłady w Katedrze Zombiludków Polnocnonizynnych. A ponieważ kadrze naukowej się nie przelewa, w wolnych chwilach dorabiał. Chalupniczo produkował najwyższej jakości, niedostępne w zwykłych sklepach magiczne przedmioty: amulety chroniące przed różnorodnymi czarami, uczciwe firmy budowlane, zapewniające najwyższą jakość obrazu szklane polkule (całe kule mogą wytwarzać jedynie najwyżsi rangą mistrzowie magii). Darlan wyświadczył mu kiedyś pewną przysługę i w zamian został obdarowany kilkoma czarodziejskimi przedmiotami.

Puchaty stworzenie nie było jamnikiem ani żadną normalną istotą, na którą można się natknąć w lesie - lisem, borsukiem, utopcem czy elfem. Mogłoby być niebezpieczne.

-Ujujuj! Bardzo cię proszę, pomóż mi! - znów zachlipało białe stworzenie.

Wyglądało przy tym tak smutno i żalosnie, że Darlanowi zmiało serce.

-Jestem rycerz Darlan - przedstawił się, podchodząc bliżej stworzenia. - Jak mogę ci pomóc?

-Ja mam na imię Lodmil, przez "o" z kreską. Muszę jak najszybciej dotrzeć w jakieś zimne miejsce! - gdy wymawiał "zimne", jego lazurytowe oczy zaszły.

-Zimne? - Darlan kucnął przy stworzeniu. - Spójrz na czubek mojego nosa. Ma kolor dojrzalego buraka z powodu mrozu!

-Dla mnie jest tu gorąco - powiedział Lodmil, nieco się uspokajając. - W mojej ojczyźnie tak ciepło nie bywa nawet latem.

-Nie wiem, czy uda mi się ci pomóc - mruknął Darlan.

-Jeśli się nie uda, panie Darlanie, to umrę! Za tydzień, najwyżej dziesięć dni - stworzenie zadygotało.

Rycerz wyciągnął rękę, żeby ją pogłaskać, ale Lodmil cofnął się gwałtownie.

-Nie dotykaj mnie! Mozesz sobie odmrozic reke, a mnie poparzysz!

-Kim ty wlasciwie jestes, Lodmile przez "o" z kreska. I skad sie tu wziales?

-Nie wiem, jak tu trafilam. Ostatnie, co pamietam, to to, ze jestem w moim lodowym domu i zapadam w letni sen, aby przeczekać trzy miesiace upalow. A potem znalazlem sie tutaj. W tym goracym kraju, bez rodziny, bez przyjaciol i bez jedzonka... Ujujuj! Jestem lodorozcem, samotnym, malym, zagubionym lodorozcem! Ujujuj!

-Ha! - Darlan pytajaco spojrzal na swojego biegacza.

Wierzchowiec nawet nie krecil glowa. Wiedzial doskonale, ze rycerz juz podjal decyzje. Wizja cieplej stajni, gory siana i worka suszonych sliwek znow zniknela sprzed oczu biegacza. Na dodatek ze slow lodorozca wynikalo, ze w miejscu, do ktorego pewnie sie wybiora, jest zdecydowanie zimniej niz tu.

Zablakana kropla mroznego deszczu kapnela na nos biegacza, budzac w dzielnym wierzchowcu jak najgorsze przeczucia.

-Jestem lodorozcem, a przyzwoity lodorozec nie szwenda sie po dworze, kiedy snieg stopnieje. Razem z cala rodzina mieszkam na gorskim lodowcu, wysoko, prawie pod samym niebem.

Rycerz wierzil, ze zdola pomoc biednemu lodorozcowi, i wiedzial, ze nalezy sie spieszyc. Uznal jednak, ze zanim wyrusza w dalsza droge, musi jak najwiecej dowiedziec sie o swoim nowym kompanie. Kazda informacja mogla byc przydatna.

-Niedaleko ciagnie sie lancuch gorski, ktorego szczyty sa wiecznie osniezone - powiedzial rycerz. - Moze tam mieszkasz? Jaki byl ten twoj lodowiec?

-Byl bardzo milutki, twardziutki i chlodniutki. Aha, i byl z lodu.

-To rzeczywiscie bardzo niezwykle jak na lodowiec - mruknal Darlan.

-Nam, lodorozcom, to bardzo odpowiada. Lubimy mroz, zawieje i sniezyce. Zywimy sie platkami sniegu, popijamy chlodnym wiatrem, a na deser wsuwamy blask zorzy. Smakolyki, mowie ci, panie Darlanie, pychota! Przez prawie caly rok bawimy sie na stokach: spiewamy piosenki, lepimy balwany i tworzymy lodowe rzezby. Kiedy konczy sie wiosna i robi sie zbyt cieplo - zagrzebujemy sie w jamach i zapadamy w letni sen, zeby przetrwac gorace dni. Gdyby ktos z nas tego nie zrobil, to jego rog wkrótce by sie stopil. A kiedy rog lodorozca stopi sie calkowicie, lodorozec umiera. Zobacz! Kiedy kladlem sie spac, moj rog byl znacznie dluzszy. O, tyle! - Lodmil probowal zademonstrowac ow niezwykle rozmiar, rozkladajac krotkie raczki.

-I co? Polozyles sie spac u siebie, w tym przytulnym, chlodniutkim - Darlan zadrzal na

sama myśl - legowisku?

-Tak jest! A obudziłem się tutaj, w środku lasu. Bo to jest las, prawda? U nas w górach takich nie ma. Mama mi opowiadała bajki, że w lesie to stoją tacy duzi, brązowi, o stu ramionach. No i bardzo proszę, są! - lodorożec powiedział wzrokiem po otaczających go drzewach.

-Myślę, że możemy cię uratować. Po prostu zboczcie ze szlaku i zawiozę cię w góry. Nawet jeśli to nie są twoje ojczyste strony, to znajdziesz jakąś dostatecznie zimną kryjówkę, by przeczekać do prawdziwej zimy. A wtedy bezpiecznie ruszysz na poszukiwania domu. Czy tak może być, Lodmilo przez "o" z kreską?

-Może być, panie rycerzu, przez "c" bez kreski! - odkrzyknął zadowolony lodorożec.

"Wertepy, mroz i niewygody - pomyślał zrezygnowany biegacz. - Oto, do czego może doprowadzić nauka ortografii!".

Wkrótce wyruszyli w drogę. Oczywiście zboczyli z głównego szlaku, kierując się na skróty przez las - prosto ku górą. Darlan miał nadzieję, że do ich podnóża dotrą za trzy dni, a następne trzy zajmie im wspinaczka ku wyżej położonym, chłodniejszym obszarom. Jechali więc środkiem lasu, klucząc między drzewami, czasem przedzierając się przez gęste zarośla, czasem wykorzystując ścieżki lesnych zwierząt oraz drożki wydeptane przez elfy i rusalki.

Lodmil podróżował w małym koszyku przytroczonym do boku biegacza, tak aby ani przez chwilę nie mógł dotknąć człowieka ani wierzchowca. Drugiego dnia wędrowki jego stan nieco się pogorszył. Lodmil mniej mówił, jego róg stał się wyraźnie krótszy, a wirujące w środku srebrzyste gwiazdki - przygasły. Darlan próbował rozbawić lodorożca naprędce ułożoną piosenką, jednak bez większego powodzenia.

Smok trzygłowy ma trzy głowy,

Pięciogłowy ma głowę pięć,

Nawet rycerz zawodowy

Musi naciąć dużo cię,

by te głowy mieć już z głowy

i na dalsze łowy cheć!

Jednak tuż pod wieczór lodorożec wyraźnie się ożywił.

-Czuje chłód! - powiedział radośnie. - Wyczuwam coś rozkosznie mroźnego!

-Noc idzie - wyjasnil Darlan. - Noca zawsze jest zimniej, prawda?

-Czy uwazasz, panie rycerzu, ze nie jestem w stanie odroznic zwyczajnego nocnego mrozu od pysznego, dobrze przygotowanego chlodu? - obruszył sie lodorozec. - To tak, jakby bledny rycerz nie potrafil odroznic zwyklego smoka od bazyliuszka.

-Aha! - powiedzial Darlan ugodowo, nie chcąc wdawac sie w drakonologiczna dyspute. Po prawdzie, to nie znal ani jednego rycerza, który odrozniłby smoka od bazyliuszka. Wszyscy bowiem dzielni wojacy, którzy ujrzeli bazyliuszka na własne oczy, potem nadawali sie jedynie do postawienia w ogrodkach obok klombow i gipsowych krasnali.

-Ten chlod zbliża sie do nas - powiedzial Lodmil wkrótce potem. - Och, jakie to przyjemne! Wkrótce sie z nim spotkamy!

-Przyjemny jest tez obiad z siedmiu dan - powiedzial rycerz. - Tyle ze potem przez tydzien boli cie brzuch. Moze ten chlod ma cos wspolnego z twoimi problemami. Lepiej zwin sie na dnie koszyka i siedz cicho. Ja sprawdzę, co sie dzieje, choc na mysl o jeszcze wiekszym mrozie dostaje gesiej skorki.

-Nie obawiaj sie - uspokoil Darlana lodorozec. - To nie jest zimno, które wyczuje człowiek lub biegacz. To magiczna koncentracja chlodu, nierozniaca sie temperatura od otoczenia. Rozumiesz?

-Jasne, ze rozumiem - powiedzial szybko Darlan, mając nadzieje, ze Lodmil nie zechce tego sprawdzic. - Teraz nakryje koszyk, bo tu rzeczywiscie ktos idzie i zaraz sie z nim spotkamy. Masz byc cicho!

Rycerz zamknal kosz i przykryl go pledem. Po chwili dobiegl go konspiracyjny szept.

-Tak dobrze, panie rycerzu?

Darlan przyjrzał sie wiszacemu u siodla tobołkowi. Lodorozca nie bylo widac, wiec rowniez szeptem odpowiedzial:

-Dobrze! Siedz tam w bezruchu, jakbys byl swoja lodowa rzezba!

-A kto ci powiedzial, ze nasze lodowe rzezby siedza w bezruchu...? - probowal dyskutowac Lodmil, ale Darlan uciszyl go cichym syknieciem. Oto z naprzeciwka dalo sie bowiem slyszec ciezkie posapywanie, trzask lamanych butami galazek i glosne pobrzekiwanie. Po kilku chwilach spomiedzy drzew wylonila sie niska, przygarbiona sylwetka. Darlan dostrzegl dluga, siwa brode, która jesli nawet zetknela sie kiedyś z grzebieniem, to na pewno nie w tym stuleciu. Jej właściciel wygladal na takiego, który mógł pamietac jeszcze dawniejsze czasy. Byl niskim człowiekiem, o pomarszczonej, jakby zeschnietej twarzy, gestych, zoltych brwiach i szerokim nochalnym znaczonej siecia zylek. Wlosy tez mial zolte, tyle ze jasniesze, a po raz ostatni czesal je pewnie wtedy co i brode.

Ubrany był w szary płaszcz bez kaptura i z dużymi kieszeniami.

-Witaj, jestem rycerz Darlan. Wedruje po świecie w poszukiwaniu przygod i dobrych uczynków do spełnienia. A ty?

-A ja wręcz przeciwnie - odpowiedział starzec po otrząśnięciu się z chwilowego zaskoczenia. Zapadło kłopotliwe milczenie. Przerwał je rycerz.

-Co robisz samotnie w środku dzikiego lasu? - spytał.

-Chodzę sobie - dziadek lypnął na Darlana złym wzrokiem.

-Tak bez celu?

-To bez celu, bulwa, nie wolno? Coś ty za jeden, że mnie wypytyujesz? Myślisz, bulwa, że jak miecz wozisz przy boku, to już możesz spokojnych ludzi zaczepiać?!

-Bardzo cię przepraszam, szanowny panie - uklonił się Darlan. - Nie chcesz rozmawiać, to rozejdźmy się w swoje strony. Ja idę tam, a ty tam!

-I jeszcze mi tu będzie pokazywał, gdzie mogę chodzić, bulwa! To ja pójdę tam! A ty tam! - krzyknął dziadek. Nagle się uspokoił. - Zaraz, w góry jedziesz, powiadasz? No dobra, niech ci będzie. Tu niedaleko, dla ciebie po drodze, stoi mój dom. Możesz do mnie zajechać, przenocować.

-Spiesz się trochę!

-Stare przysłowie centaurów mówi, że kto się spieszy w podróży, ten kończy jak... - starzec zawahał się. - Ten jest jak... Ten wygląda jak... Zapomniałem, bulwa! Ale na pewno jakos się kończy i wygląda bardzo mamie! A centaury znają się na życiu. Więc zapraszam do siebie. Tobie proponuję lipową herbatę, a dla biegacza znajdują się sliwki!

"To był chwyt poniżej pasa" - pomyślał Darlan, patrząc na swojego wierzchowca, który nagle zapragnął jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.

Wedrowali już pewien czas, kiedy Darlan dostrzegł białą tabliczkę wiszącą na jednym z drzew. Napis na tabliczce brzmiał:

"CZY KTOS CIĘ TU ZAPRASZA?!".

Odpowiedź pojawiła się na desce przybitej do następnego drzewa:

"NA PEWNO NIE!".

-Ktoś tu nie lubi gości - mruknął Darlan. - To ja nie lubię gości - staruszek był z siebie wyraźnie zadowolony. - Czy w innym przypadku zamieszkałbym na takim odludziu?

-Czym sie tu zajmujesz?

-Mysleniem. Czynnosc nieznaną wiekszosci ludzi, niestety. Ty czasem myslisz, rycerzu? Czy tylko machasz mieczem?

-Nie masz wysokiego mniemania o mojej profesji.

-A o czym, bulwa, tu miec dobre mniemanie? Rabusie, klusownicy, podrywacze! Oto, kim jestescie! I do tego zazwyczaj nieuprzejmi dla starszych.

Darlan spojrzal na nastepny napis na drzewie.

-Zaprawde, z twoja goscinnoscia niewielu z nas moze sie rownac!

Napis brzmial:

"WYNOCHA!".

Staruszek znów sie usmiechnal, dostatecznie szeroko i dlugo, by Darlan mogl obejrzec jego trzy zęby.-Widze, ze nie jestes w ciemie bity, drogi rycerzu! Jak ty wlasciwie masz na imie?

-Darlan.

-A ja jestem doktor profesor Albin Von Klusky, Mozesz do mnie mowic: "Albinie" albo "profesorze".

-Dobrze, Albinie.

I tak gwarzac, jechali dalej. Lodmil cicho siedzial w koszyku, a biegacz niecierpliwie wypatrywal obiecanych sliwek. Darlan caly czas probowal odgadnac, kim naprawde jest ow dziwaczny i niemlody posiadacz uzebienia skladajacego sie glownie z dziur. Mineli wiele kolejnych ostrzegawczych tablic, kolorowych plakatow, swiecacych napisow utworzonych przez robaczki swietojanske, a nawet kilka gnomow stojacych na baczosc pod drzewami i wykrzykujacych propagandowe hasla:

"UWAGA! ZLE TROLLE!".

"TU GRASUJA DRAPIEZNE BAGNA!".

"SPADOWA NA BAMBUS!".

"REZERWAT WILKOLAKOW!".

"JESTES NA POLU MINOWYM!".

Darlan nie dostrzegł żadnych trolli, biegających bagien ani wilkolaków (o bambusie w tej strefie klimatycznej nie warto nawet wspominać). Jednak ostatnie ostrzeżenie nie było bez pokrycia. Na oznaczonym terenie Darlan dostrzegł kilkanaście włochatych pyskulców gotowych do zrobienia tak ohydnych min, że najodważniejszemu podróżnikowi mogłoby od nich struchleć serce. Pyskulce słyną ze swojej urody. To znaczy z jej braku. Na znak doktora profesora Albina rozstąpiły się jednak, groźnie lypiąc swoimi szescioma oczami. - Biora strasznie dużo za swoje usługi - wyjaśnił von Klusky. - Ale to się kalkuluje.

W końcu wędrowcy dotarli do wysokiej góry, pierwszego zwiadowcy całego łańcucha ciągnących się w obie strony szczytów. Drzewa rozrzedziły się, potem rozstąpiły na boki. Przed Darlanem pojawiła się stroma, niemal pionowa skalna ściana. U jej podnoża stał dom Albina; dość obszerna dwupiętrowa budowla z czerwonej cegły, wsparta plecami o granitową turnię. Obok było kilka budynków gospodarskich, a także wiatrak i dziwna konstrukcja ze stalowych pretów.

-Tu mieszkam - powiedział von Klusky i Darlan po raz pierwszy w jego głosie usłyszał ton prawdziwego zadowolenia. Najwyraźniej staruszek lubił to miejsce. - A to mój jedyny towarzysz i pomocnik!

Drzwi domu otworzyły się i na spotkanie podróżnym wyszedł niski, garbaty stwor. Dopiero po chwili Darlan zorientował się, że owa istota na plecach nosi nie garb, ale dużą muszlę. Miała krótkie nogi, trzypalczaste ręce i oczy dyndające nad głową na wysokich słupkach. Powoli zbliżyła się do przybyszy.

-To slimon - gwizdnął Darlan z uznaniem. - Dawno takiego nie widziałem!

-A zaluj, panie rycerzu, zaluj. Slimonie nie są może zbyt bystre i szybkie, ale za to bardzo pracowite i sympatyczne. No i nie zajmują wiele miejsca, bo swój dom zawsze noszą na plecach. Hej, kochany Millupie, przywitaj się z gościem!

Słupki na czubku głowy slimonia wygięły się w stronę Darlana. Millup lypnął powiekami, po czym powiedział powolnym, basowym głosem.

-Bardzo panu dzień dobry!

-Ma trochę kłopotów ze składnią - szepnął Albin Darlanowi. - Nie zwracaj na to uwagi, bo zrobisz mu przykrość!

-Dzień dobry! - uśmiechnął się Darlan do slimonia. - Jak leci?

-Nie leci - odpowiedział Millup po chwili namysłu. - Idzie się.

-I nie używaj metafor - znowu szepnął Albin. - Bo go rozboli głowa.

-Kolacja gotowa już - powiedział slimon. - Pyszna, ale smaczna.

Darlan kiwnął głową i pogładził po szyi biegacza.

-Chciałbym go najpierw zaprowadzić do stajni, oczyścić i dać mu jeść. Potem chętnie coś sam przekasze.

-Tak. Millup, nakryj do stołu, a ja pokażę gościowi nasze gospodarstwo - Albin odprawił sługę ruchem ręki. Zaprowadził rycerza do małego, drewnianego budynku. W środku, ku zdziwieniu Darlana, panował wielki porządek. Stojący tu woz i uprzęż dla wołów były starannie wyczyszczone, w boksach dla wierzchowców leżało świeże siano, a ściany były świeżo odmalowane. Całkiem niezłe jak na kogoś, kto sam czesze się wyłącznie w okrągłe rocznice świąt państwowych.

Dwa miejscowe biegacze przywitały przybyszów miłym gwizdem. Biegacz Darlana coś im odpowiedział i już po chwili między wierzchowcami toczyła się ożywiona pogawędka.

-Na pewno nas obgadują - uśmiechnął się Darlan.

-Raczej dyskutują, one to bardzo lubią, szczególnie o polityce.

Darlan uważnie spojrzał na swojego wierzchowca, z którym wszak podróżował od bardzo dawna.

-O polityce? Biegacze?

-Moje lubią też debaty filozoficzne, rozwiązywanie zawilosci kodeksów drogowych w Królestwie Pankratii oraz analizie praw spadkowych pomiędzy stu szesćdziesięciorgiem trojgiem dzieci Cesarza Kurdii. Twierdzą, że to równie skomplikowane i poważne zagadnienia.

-Aha! - powiedział Darlan i zabrał się do zdejmowania bagazy ze swojego biegacza. Wierzchowiec pogwizdywał z przejęciem, najwyraźniej podekscytowany możliwością wymiany poglądów z innymi biegaczami.

"Jak on powiedział? Kodeks drogowy Królestwa Pankratii?" - pomyślał rycerz z rozpaczą. Spojrzał za siebie, ale staruszka już nie było. Wykorzystując te chwile, podniósł plecak zasłaniający koszyk z lodorozcem.

-Jak tam, zadowolony? - spytał.

-Ciekawe, czy ty bylbys zadowolony, jakby cię ktoś wiozł po takich wertepach i kazał siedzieć nieruchomo?! - Lodmil wstrząsnął się, przeciagnął, podrapał pazurkami w dno koszyka. - Zobacz, rog mi się znowu skrocil! Mamy coraz mniej czasu...

-Nocleg tutaj to dobry pomysł - powiedział Darlan. - Wcale nie zboczyliśmy z trasy. Wkrótce czeka nas ciężka wspinaczka, więc musimy dobrze się wyspać i najść.

-Ano własnie, najesc i napic! - rozlegl sie glos wchodzacego do stajni Albina. Darlan szybko przykryl koszyk pledem i odwrocil sie. Von Klusky trzymal w rekach dwa kubki z parujacym plynem.

-Po dlugim marszu nie ma to jak lipowa herbata z miodem. Prosze, skosztuj!

Darlan wzial w dlonie goracy, gliniany kubek. Fala ciepla przeplynela wzdluz jego ramion, rozpelzla po calym ciele. Wonny aromat napoju draznil nozdrza. Albin von Klusky siorbnal ze swojego naczynia.

-Uff... dobre, cieple, ozywiajace. Nikt tak nie parzy lipowej herbaty z miodem jak slimonie!

Darlan przysunal kubek do ust. Herbata byla pyszna. Juz po chwili rycerz poczul, ze jego przemarzniecie ciało powoli sie rozgrzewa.

-I nic tak jak goraca herbata z miodem - powiedzial Albin von Klusky, patrzac wprost w twarz Darlan a - tak dobrze nie ukrywa smaku trucizny. Uwierz mi, panie rycerzu, jestes dokładnie tak samo glupi jak wszyscy inni twoi koledzy po fachu.

-Co to jest...? - wychrypial Darlan i ruszyl w strone staruszka. Zdolal zrobic jeden krok. Nagle zakrecilo mu sie w glowie. Poczul, jak jego miesnie wiotczeja, a kolana same sie uginaja. Upadl na ziemie.

-No i, bulwa, bec! - to byly ostatnie slowa, jakie uslyszal. Potem ktos zgasil swiatlo i wylaczyl muzyke. Bec!

Paru rzeczy w zyciu Darlan nie lubil. Na szczycie tej listy znajdowaly sie: gotowany groszek; krasnoludy, ktore sie nie myja, ale uzywaja miejskich dylizansow; budzik; krolewscy poborcy podatkow. Sam jej szczyt zajmowalo: obudzic sie w czarnym i zimnym lochu z bolaca glowa i pusta pochwa miecza. Tak jak teraz.

Tylko nikly strumyczek swiatla wpadajacy przez szpare pod drzwiami rozpraszal ciemnosc. Darlan odczekal chwile, zeby przywyknac do polmroku, i podniosl sie z podlogi. Dla bezpieczenstwa wyciagajac przed siebie rece, zmierzyl krokami wielkosc celi. W jednym jej kacie natrafil na zamknieta beczke. Na scianach wymacal kilka polek, na ktorych staly rozne naczynia. Sprawdzil zawartosc kilku sloi. Wypelnialy je roznorodne specjaly majace wspolna ceche: dzem sliwkowy, powidla sliwkowe, kompot sliwkowy, sok sliwkowy, syrop sliwkowy. Darlan byl pewien, ze jego biegacz sam, bez zadnej trucizny i ogluszania, dalby sie zamknac w tej celi. Rycerz nieco sie uspokoil. Najwyrazniej Albin nie byl podstepnym porywaczem, skoro jako wiezienie musial wykorzystywac własna piwnice, a nie jakis przygotowany zawczasu loch. Zreszta, czy czlowiek, ktory szykuje przetwory na zime, moze byc naprawde zly i niebezpieczny?

Z drugiej jednak strony stary dziwak nie zrobil na Darlanie dobrego wrazenia. Rycerz szczegolnie niepokoil sie losem lodorozca. Jesli ten biedak dalej tkwi w koszu, to pewnie

jego rog znacznie się już skrócił, O tak, należało się spieszyć!

Ledwie Darlan skończył te wstępne oględziny, za drzwiami rozległy się jakieś dźwięki.

-To ty, Albinie? - spytał rycerz.

-A kogo się spodziewasz, młody łobuzie? Pewnie, że ja.

Darlan nawet się ucieszył. Przecież, od dobrych dwudziestu lat nie nazwał go "łobuzem". I to młodym!

-Znalazłem twoją ofiarę, podły morderco!

To określenie Darlanowi znacznie mniej się podobało.

-Hola, hola, a czemuż to mnie obrazasz?! - spytał gniewnie. - Czy to ja ludzi poje zatruta herbata i wsadzam do ciemnego lochu?

-Bo to właściwe miejsce dla takich padalców jak ty, bulwa!

Darlan rozezłił się nie na żarty. Stał tuż przed drzwiami swej celi, jakby dzięki temu mógł zobaczyć znajdującego się po drugiej stronie przeciwnika.

-Niech no tylko stąd wyjde, to... Zaraz, zaraz. Znalazles lodorozca?

-A pewnie, że tak! Myślisz, że tak go dobrze ukryles? Że jak oczy czegoś nie widza, to się tego nie da odkryć? Tępy jesteś jak swój miecz, panie rycerzu. Zaraz, jak cie spotkałem na tej drodze, to wyczułem, że go wiesz w koszu. I teraz go mam! Myślisz, że po co cie zaprosiłem do mojego domu? Że nie mam nic innego do roboty, tylko gościć takich obwiesiów jak ty, bulwa!

Darlan już miał odpowiedzieć, gdy zza drzwi dobiegł go głos należący do Slimonia.

-Pobudka, panie Albinie, porusz kości własne!

-Co się stało? Gdzie mam iść?

-Zimnolub obudził się. Nerwi się.

-No dobra, ide. Jeszcze ty mi wszystko, bulwa, wypiewasz, gagatku! - wrzasnął Albin do Darlana na odchodne. Rycerz nie zdążył odpowiedzieć. Chwile trwał w półmroku, nasłuchując odgłosów zza drzwi.

-Millup, jesteś tam jeszcze? O co chodzi twemu panu?

-Jest badaczem - odpowiedział Slimon. - Wiec bada. Do zegnaj. Pa, pa.

-Ej, Millup, czekaj. Lodorozec, czy jest bezpieczny? Czy nic mu nie grozi?

-Grozi, grozi. Grozi, grozi... - powtorzył Millup, ale każde jego słowo dobiegalo jakby z większej od dali. Najwyraźniej slimon odchodził, a gadał sam do siebie. Jeszcze przez kilka chwil do zamkniętego w celi rycerza dobiegaly coraz cichsze słowa.

-Grozi, grozi, grozi...

Darlan stał naprzeciw zatrzasniętych drzwi swego więzienia, w mroku, bezbronny i słaby. Nie miał czasu. Musiał ratować lodorozca.

-Grozi... grozi... grozi...

Błędny rycerz przyzwyczajony jest do niebezpieczeństw. Co mu tam groźne potwory, dzikie zwierzęta czy podstępni czarodzieje. O tak, po to właśnie się zostaje rycerzem, by z mieczem w garści walczyć po łbach złe istoty, pomagać słabszym i ratować piękne księżniczki (brzydkich księżniczek nie ma, chyba że fałszywe). Rycerz winien stawiać do walki w pełnym słońcu, bić się honorowo i pięknie, osadzać sprawiedliwie, lecz miłosiernie.

Ale nie zawsze tak się udaje. Jeśli siedzisz w ciemnym lochu, zabrano ci miecz, a niewinnej istocie, którą się zaopiekowałeś, zagraża niebezpieczeństwo - musisz działać inaczej.

"Jak włamywacz - przemknęło przez głowę Darlanowi. - A w zasadzie jak wylamywacz, bo ja chcę stąd wyjść, a nie tu wejść. Mam nadzieję, że nikt mnie teraz nie zobaczy".

I nie chodziło tylko o to, że Darlan ze sprzeczki paska zrobił mały wytrych i że otwierał nim właśnie zamek piwnicy. Nie o to, że jakiś surowy strażnik honorowych kodeksów mógłby się oburzyć na stosowanie przez rycerza złodziejskich sztuczek. Nie, nie, Darlan obawiał się bardziej tego, co powiedzieliby przygodni obserwatorzy na jego widok. No bo, jak się zapewne domyśliliście, skoro Darlan używał paska jako wytrychu, to musiał go najpierw wyciągnąć ze spodni. Nie wyglądał teraz nazbyt rycersko, szczerze mówiąc.

Na szczęście w ciemnym lochu przebywały tylko stworzenia od pokoleń żyjące w ciemności, a zatem całkowicie ślepe. I całe szczęście w tym ich nieszczęściu.

Manipulacje Darlana wreszcie przyniosły efekt. W zamku coś szcęknięło, drzwi zgrzytnęły i uchyliły się nieco. Rycerz zamarł w bezruchu, uważnie nasłuchując. Cisza.

Szybko więc podciągnął spodnie, w jednej chwili odzyskując w pełni rycerski wygląd i godność. A potem powoli opuścił swoją celę. Znalazł się w wąskim korytarzyku. Słoneczne światło docierało tu przez małe, znajdujące się tuż pod sufitem okno. Darlan mógł więc dostrzec wzdłuż korytarza liczne drzwi podobne do tych, za jakimi sam był uwięziony, a także prowadzące w górę schody. Powoli zaczął się po nich wspinać, aż dotarł do kolejnych drzwi.

Nasluchiwał chwilę, a potem nacisnął klamkę. Hura! Nie były zamknięte na klucz. Uchyliły się cicho i w oczy Darlana uderzyła jasność. Wszedł do przestronnego pomieszczenia. Przez duże okna wpadało tu światło słoneczne. W pokoju było kilka stolików, na których leżały jakieś papiery, zwoje pergaminu. Stała tam też waga, pokaznych rozmiarów mikroskop, butle wypełnione kolorowymi płynami, szklany słoik z zamkniętą w środku małą galaktyką spiralną i drugi, w którym koło drabinki siedziała znudzona zabka. Ściany gabinetu obwieszane były różnego rodzaju tablicami przyrodniczymi, arkuszami papieru ze szkicami dziwnych maszyn i portretami kobiet w kostiumach kąpielowych.

W środku pomieszczenia stał wielki pryzmat z kryształu gorskiego. Przez okno padał nań promień słońca. Światło wnikało w kryształ, rozszczepiało się i na przeciwległej ścianie tworzyło piękną tęczę. Na tej ścianie znajdowało się też mnóstwo termometrów. Na niektóre padał różnokolorowy blask promienia, inne znajdowały się poza jego zasięgiem.

W kątach pomieszczenia stały wypchane zwierzęta i potwory z zimnych stref klimatycznych.

-No, niezła kolekcja trofeów myśliwskich, jak na uczonego - mruknął Darlan. - Biały niedźwiedź, yeti, dziadek mroź, pingwinolak, profesor Albin, małpa śnieżna, czukczozaur... Profesor Albin?

-Rece do góry - powiedział von Kluski, wychodząc z kąta. W ręku trzymał kawałek rury, której koniec mierzyl w Darlana. - Nie próbuj żadnych sztuczek. To, co mam w ręku, to mój nowy wynalazek. Pluje ogniem. Jeszcze nie wiem, jak go nazwę, ale bądź pewny, że działa.

-Co zrobiłeś z lodorożcem?

-A co ci to obchodzi?

-Róg mu się skraca cały czas. To dla niego niebezpieczne.

-Nie trzeba było mi go zabierać.

-To co, miałem go zostawić na pewną śmierć? - Darlan zamilkł nagle. - Zaraz, zaraz... jako to "tobie" zabierać?

-Jak to, bulwa, "zostawić na śmierć"?! - stary profesor ruszył w stronę Darlana, na moment tylko opuszczając ku ziemi koniec swojego plującego ogniem kijaszka. Rycerz błyskawicznie skoczył w jego stronę i bez większego problemu jednym szarpnięciem wyrwał mu brzożę z ręki. Stali teraz tuż obok siebie, niemal dotykając się nosami. Na twarzy profesora malowało się zdziwienie i oburzenie. Ale nie strach.

-Jak na porwacza, nie zachowujesz się, Albinie, zbyt roztropnie - powiedział Darlan po chwili milczenia, Albin głęboko nabrał powietrze w płuca.

-BO NIE JESTEM PORYWACZEM, PORYWACZU! - wrzasnal.

-No dobrze, to porozmawiajmy jak porywacz z porywaczem, dobra? - Darlan usmiechnal sie. - Ty porwales mnie. A ja kogo?

-Jak to kogo? Lodorozca!

Rycerz patrzył Albinowi prosto w oczy. Profesor nie oszukiwał, naprawdę wierzył w to, że Darlan chciał wyrzadzić krzywdę temu białemu, puchatemu stworkowi.

-Mylisz się, Albinie - powiedział spokojnie. - Ja starałem się mu pomóc. Myśle, że musimy sobie wszystko powoli wyjaśnić.

-Tak naprawdę nie jestem bez winy - powiedział Albin von Klusky po chwili milczenia. - To z mojego powodu lodorożec tu się znalazł. I dlatego poczuwam się do odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. Badam naturę światła i ciepła - objasnił dalej profesor. - A także zimna i ciemności. Ten przedmiot w środku komnaty to...

-To pryzmat, drogi Albinie - przerwał mu Darlan z lekkim uśmiechem. Podszedł do gorskiego kryształu. - Biały promień pada nań, ugina się i rozszczepia na składowe kolory. W taki sam sposób ze słonecznego światła rozszczepionego na kroplach deszczu powstaje tęczą.

-Ha, bulwa, ha, rycerzu, toś mnie zaskoczył! - wykrzyknął von Klusky. - Przyznam, że nie miałem nigdy wielkiego mniemania o przedstawicielach twojej profesji, ale chyba zmienić zdanie. Ha, bulwa, patrzcie no...

-A te termometry na ścianie? - spytał Darlan po chwili.

-To ciekawe, tak, to bardzo ciekawe. Odkryłem, że w rozszczepionym świetle znajduje się coś jeszcze, jakby promień ciepła. Zobacz - Albin podszedł do ściany - na ten termometr, który znajduje się tuż za czerwoną barwą tęczy. Widzisz, tu już nie ma żadnego koloru, ale ten termometr pokazuje wyraźnie wyższą temperaturę niż pozostałe. Myśle, że to kolor ciepła, niewidzialny dla nas, ale wchodzący w skład słonecznego światła, tak jak wszystkie barwy tęczy.

-A co to ma wspólnego z lodorożcem?

-W zasadzie nic - mruknął Albin po chwili namysłu.

-No to po co mi to pokazujesz?

-Bo to ciekawe, czyż nie, rycerzu? Fascynujące! Od lat badam fenomen światła i ciemności, od lat mieszkam na tym odludziu tylko z Millupem, a dopiero niedawno odkryłem tak niezwykle stworzenie jak lodorożec!

Darlan spojrzal uwaznie na profesora.

-To na skutek twoich eksperymentow znalazl sie tutaj, prawda? Jak to zrobiles?

Von Klusky sie zawahal,

-Na dole... w piwnicy... no, nie w tej, w ktorej cie, z calym szacunkiem, trzymalem, mam drugi pryzmat. Wiekszy. Dziwniejszy. Magiczny. To pryzmat ciemnosci. Tak jak ten tutaj rozszczepia swiatlo, tak tamten dzieli na czastki ciemnosc. Bo wiesz, mrok tez sklada sie z wielu tajemnych kolorow. I zimna. Mysle, ze to jest przyczyna. Rozszczepilem ciemnosc i stworzylem strumien krystalicznego, skondensowanego chlodu. Mysle, ze ta fala mrozu jakos sciagnela lodorozca z jego gor. Podejrzewam, ze cala rodzina Lodmila mieszka na kilku najblizszych szczytach, tam sa wielkie lodowce. Pasuja do jego opowiesci.

W chwili gdy wlaczylem pryzmat ciemnosci, Lodmil po prostu zmaterializowal sie w moim laboratorium. Caly czas spal, ale od razu rozpoznałem jego niezwykle wlasciwosci. To zywa esencja mrozu, ujemnej energii, chlodnej magii. Jest niesamowity, wspanialy!

-Wiec - Darlan przerwal ten wywod - postanowiles go zatrzymac, zeby go zbadac albo wykorzystac w swoich eksperymentach.

-Tak, spedzalem z nim mnostwo czasu, cale dni i noce, obserwujac jego reakcje na strumien chlodu i analizujac jego magiczny wplyw na wszystko, co mrozne. Ale nie chcialem robic mu krzywdy! - gwaltownie zaprotestowal von Klusky. - Po prostu chcialem mu sie dokladnie przyjrzec... No i wolalem poczekac na zime, zeby go bezpiecznie wywiezc w gory, na lodowiec. Trzymalem go w chlodnej piwnicy, czasem delikatnie wtaczalem pryzmat mroku i dodatkowo naswietlalem promieniem mrozu. Byl bezpieczny, spal sobie smacznie, a ja moglem z nim spedzic mnostwo czasu. Ale trzy dni temu zastalem otwarte drzwi do laboratorium, a lodorozec zniknal. Wyruszylem wiec w gory na poszukiwania. No i wtedy spotkalem ciebie.

-I uznales, Albinie, ze to ja ci go ukradlem? I nie zdziwilo cie to, ze przyjalem twoje zaproszenie? Ze chce z powrotem jechac do twojego domku, chociaz niby wlasnie stamtad uciekalem?

-No wiesz, moze chciales zmylic tropy... - powiedzial von Klusky bez wyraznego przekonania. - Bylem zdenerwowany. Przepraszam cie.

-Jak teraz tłumaczysz znikniecie Lodmila?

-Mysle, ze to pryzmat mroku. Tak jak wczesniej sciagnal lodorozca z gor, tak tym razem magicznie przeniosl na polane, gdzie go znalazles. Na szczescie zreszta...

-No dobrze, chodzmy zobaczyc, jak sie czuje Lodmil - powiedzial Darlan - A potem chetnie utne sobie drzemke.

-Tym razem zapraszam cie do sypialni, a nie do piwnicy, bulwa! - usmiechnal sie von Klusky.

Caly dzien minal im na pogawedkach o dalekich krajach, naukowych odkryciach i lodorozcu. Darlan podziwial rozne wynalazki profesora, a im wieksze wyrazal uznanie, tym wiecej nowych projektow wyciagal von Klusky ze swoich kufrow. Minal ranek, nadszedl wieczor i rycerz poczul sie cokolwiek zmeczony. Sprawdzil jeszcze, czy jego biegaczowi niczego do szczescia nie brakuje (nie brakowalo), powiedzial "dobranoc" slimoniowi (uslyszal w odpowiedzi: "A jakze, nie za zla, chyba nie"), pozegnal sie z lodorozcem (ktoremu od przebywania w promieniu zimna rog odrastal tak szybko, jak nos Darlana czerwienial) i poszedl do swojego pokoju, mocno ziewajac.

Jednak nie mogl usnac - mimo ze poscielono mu na wygodnym lozku, a wczesniej pozwolono wykapac sie w wielkiej balii goracej wody. Juz dawno minela polnoc, a on ciagle wiercil sie w poscieli, przewracajac z boku na bok, brzucha na plecy, a takze z plecow na bok, z boku na brzuch, z plecow na plecy i tak dalej. Najpierw myslal, ze jest mu za duszno, wiec uchylik nieco okno. Potem uznal, ze mrozne gorskie powietrze tylko go orzezwia, wiec je zamknal. Nastepnie zmienil zdanie i rozchylil okiennice na cala szerokosc. Po kilku minutach szczekal zebami pod koldra, ale na mysl o tym, ze mialby teraz spod niej wylezc, dostal ataku gesiej skorki. Wreszcie zdobył sie na ten mezny czyn i szybko wskoczyl z powrotem do lozka. Skoro i tak nie mogl spac, wzial sie do czytania pozyczonej od Albina ksiazki zatytułowanej: Spisanie potworow gorskich, nizinnych i niemogacych sie zdecydowac, zamieszkujacych krainy polozone nie wiadomo dokladnie gdzie, ale na pewno za wielkim morzem (wraz z dwudziestoma trzema ilustracyami ktorowemi) uczynione przez imc Ameriggo Marrco Maggellano Collumbo de Kojacco w czasie yego wyprawy podyetey ku chwale piekney krolowej Kurdupelli IV (oby nam yeszcze urosła) w roku, ktorego i tak nikt nie zapamieta, wiec go nie podayemy w tytule.

Ksiazka pochlonela Darlana calkowicie, bo opisywala stworzenia zyjace w miejscach, do ktorych sam nigdy jeszcze nie dotarl. Nie zorientowal sie, gdy minela kolejna godzina. Poczul zmeczenie, odlozyl wiec ksiege i probowal usnac. I znowu na prozno.

Mozna by powiedziec, ze cos dreczylo Darlana, jakis niepokoj czy zle przeczucie. Przez chwile myslal nawet, ze zaatakowala go jakas zlosliwa zmora (stworzenia te prowadzi nocny tryb zycia, a ze w nocy niewiele jest do robienia, jesli sie nie mieszka w wielkim miescie, to wiejskie zmony zabawiaja sie, siadajac spiacym ludziom na piersi, duszac ich albo gilgoczac pod pachami). Na wszelki wypadek Darlan wygrzebal wiec ze swoich tobolek zmorometr, strzasnal go i zbadal caly pokoj. Wyrzezbiona z olchowego drewna wskazowka nawet nie drgnela.

-Niestety, zadnej zmony tu nie ma - mruknal do siebie zmartwiony. Znal sto i jeden sposobow na pozbycie sie nocnych duchow, ale niestety, zadnego na zwykla bezsennosc. Domyslal sie, o co chodzi. Caly czas niepokoil sie o lodorozca. Wierzyl Albinowi von Klusky, ale jednoczesnie intuicja podpowiadala mu, ze cos tu nie gra. A Darlan, po latach podrozy i

niebezpiecznych przygod, zwykl ufac swoim przeczuciom.

Uznał, że musi się podzielić swoimi podejrzeniami z Albinem. Szybko ubrał się, włożył buty, wziął stojącą obok łóżka lampkę oliwną i wyszedł na korytarz. Skierował się ku podziemnemu laboratorium profesora, tam gdzie znajdował się pryzmat ciemności i pokój lodorożca. Zszedł tymi samymi schodami, którymi jeszcze kilka godzin temu wspinał się po ucieczce z więzienia. Po chwili stał w ciemnym korytarzyku. Rozpoznał drzwi swojej niedawnej celi, ale nie zatrzymał się przy nich, poszedł dalej w głąb lochu. Droge znał, bo przecież był tu już wcześniej z Albinem. Korytarz wykuto w zboczu góry, wykorzystując pewnie przy tym jakieś naturalne zagłębienia. Chodziło o to, by do znajdującego się na jego końcu laboratorium Albina nie docierał nawet ślad słonecznego ciepła i blasku. W końcu Darlan doszedł do grubych, stalowych drzwi. Gdyby świeciły na czerwono, oznaczałoby to, że von Klusky prowadzi jakiś ważny eksperyment i nie można wchodzić. Ciepło człowieka i oliwnej lampki mogłoby zakłócić przebieg doświadczenia. Ponieważ jednak drzwi lśniły na zielono, Darlan nacisnął klamkę.

Słyszeliście kiedyś takie zdanie: zmarzłem na kość? Tak właśnie poczuł się Darlan, gdy wszedł do laboratorium Albina. Zmarzł na kość w ciągu jednej sekundy. Tak właśnie objawiała się magia pryzmatu ciemności - wielkiego czarnego kryształu zajmującego cały środek laboratorium.

Jednocześnie światło oliwnej lampki przygasło gwałtownie, tak więc pomieszczenie cały czas było pogrążone w półmroku. Szczekając zębami, Darlan ruszył ku siedzącemu za biurkiem Albinowi.

-Ppprofsorze... mmmusze cccos ppanu... - zaczął mówić, lecz urwał raptownie. Jego oczy przyzwyczaiły się już do słabego blasku lampki i zaczął dostrzegać przerazające szczegóły.

Profesor nie siedział za swoim biurkiem, tylko leżał na nim, zgięty, z szeroko rozsunietymi ramionami i głową wcisniętą w blat. Drzwi kojca, w którym jeszcze niedawno mieszkał sobie spokojnie lodorożec, były otwarte, a sam Lodmil zniknął.

Darlan przyskoczył do Albina, szarpnął go gwałtownie.

-Profesorze, profesorze! - ze zdenerwowania aż przestał szczekać zębami. Z trwogą wpatrywał się w nieruchomą twarz naukowca.

Nagle Albin von Klusky chrząknął, chrapnął, wymamrotał pod nosem kilka niezrozumiałych słów i znowu ciężko opadł na blat stołu, przy okazji potrącając stojący na nim kubek. Naczynie przewróciło się, poturlało ku brzegowi, wylewając swoją zawartość. W nozdrza Darlana uderzył znajomy słodki zapach.

W tej samej chwili usłyszał ciche, przyzywające rzenie swojego biegacza. Można by pomyśleć, że to niemożliwe. Biegacz stał przecież w swoim boksie w stajni, na powierzchni

ziemi. Tymczasem Darlan znajdował się w zamkniętej komnacie, oddzielonej od świata zewnętrznego wieloma metrami skały, kilkoma parami drzwi i ścianami domu Albina. Tak, można by przypuszczać, że Darlanowi tylko wydawało się, że słyszy głos swego wierzchowca. Ale przecież nie po to biegacz wybiera sobie jeźdźca, by mogły im potem przeszkodzić w porozumieniu jakieś kamulce, cegły czy stalowe wrota! O nie, rycerza i jego rumaka łączy więź niezwykła, przez niektórych bardzo mądrych ludzi nazywana telepatia. Darlan uważał, że bierze się ta telepatia ze wspólnego - biegacza i błędnego rycerza - telepatia po bezdrożach. Nie zwykł lekceważyć wezwań swego przyjaciela (no, chyba że biegacz marudził, że mu się suszone sliwki kończą). Zmiał skoltuniona brode Albina w coś na kształt poduszki, podłożył ją pod policzek wciąż chrapiącego naukowca i wybiegł z laboratorium.

Od razu zrobiło mu się cieplej. Wreć gorąco. Biegacz rzał coraz głośniej.

Schody, drzwi, pokój, drzwi, korytarz, drzwi, sien, drzwi. Szybciej, szybciej! Darlan wypadł na ganek. Przebiegł przez podwórze, otworzył drzwi stajni.

Była pusta.

Za to z daleka, z lasu dobiegało go rzenie kilku biegaczy. Czyżby porywacz miał współników, którzy ukradli i lodorożca, i wierzchowce? Zapowiadała się ciężka przeprawa.

Darlan wyciągnął miecz z pochwy i rzucił się w stronę, z której dochodziło rzenie biegaczy - w las, w dół gorskiego zbocza, na przelaj przez chaszczę. Nie musimy więc chyba dodawać, że wkrótce zaliczył: trzy zderzenia z pniami drzew, cztery wywrotki (w tym dwie na nos, jedna na bok i jedna na tę część swego ciała, której nazwy nie wypada wypowiadać w książce dla dzieci), sześć zadrapan galeziami i jedno zderzenie z zaspaną sowa (która od tej pory przestała się szwendac po nocach i została jedyną na świecie sowa dzienna - trafiła w ten sposób do księgi rekordów maga o dziwnym imieniu Sseniug, ale całe życie spędziła w przeciwsłonecznych okularach).

Darlan dzielnie znosił te wypadki, wstawał, otrząpywał się, coś tam sobie mrucał pod nosem i biegł dalej.

Rzenie to zbliżało się, to oddalało. W pewnej chwili Darlanowi wydało się nawet, że słyszy trzask gałazek łamanych nogami biegaczy, ale po chwili znowu były daleko. Jakby porywacze jeździli po lesie zygzakami. Może mieli kłopoty z opanowaniem dzielnych wierzchowców? A może kluczyli, żeby zmylić trop? Pewnie nie spodziewali się, że rycerz jest tuż za nimi.

Nagle usłyszał je tuż przed sobą. Rzały, hałasowały, podskakiwały, robiły tyle rumoru, że pobudziły pewnie wszystkie lesne stworzenia. Darlan zwolnił, wyrownał oddech, wyszeptal kilka zakleć bojowych. Jeśli szykowało się walka z kilkoma wrogami naraz, musiał być przygotowany...

I wtedy nastąpiła wywrotka numer pięć. Darlan poślizgnął się na jakimś wielkim grzybie, ciężko na niego klapnął (znowu nie napiszemy, czym klapnął, żeby nie robić wstydu tak szanowanemu rycerzowi), po czym na kapeluszu tego grzyba, niczym na sankach, pomknął w dół gorskiego zbocza. A że ciągle jechał lasem, po drodze zaliczył - lup, lup, drap, lup, drap, drap, drap - trzy kolejne zderzenia z drzewami i cztery drapnięcia ostrymi galeziami. A na koniec grzyb wyskoczył do góry na jakiejś nierówności terenu i Darlan, niczym pilot małego latającego dywanu, poszybował w powietrzu między drzewami. W skrócie możemy tę drogę opisać: wziu, lup, oj, beng, rany, trach, ala, wziu, bec, plask. I na koniec:

-Auuuuuc!

Tak właśnie wrzasnął Darlan zaraz po wylądowaniu, gdy czubkiem własnego miecza kolnął się w to miejsce, którego nazwy, jak zwykle, nie podamy. Rycerz podniósł się z rozplakanego grzyba powoli, starając się zachować nieco godności. Rozejrzył się. Na małej polance, oświetlonej blaskiem księżyca i gwiazd, stały cztery biegacze. Nie byli osiodłani i nikt ich nie dosiadał. Nikt też niczym im nie groził. Przeciwnie. To one otaczały skuloną postać, nie pozwalając jej dalej uciekać i starając się robić miny tak groźne, na ile w ogóle biegacze to potrafią. Uciekinier siedział na ziemi, sciskając w reku nieduży worek, w którego środku coś się poruszało.

Kiedy szypulkowate oczy slimonia dostrzegły nowego przesładowcę, Millup zaskrzypiał z żalem i skulił się jeszcze bardziej.

-Ja zły dla zimny nos, ale nie za bardzo! Nie rob dobra krzywda! Błagam zdecydowanie!

Po czym się rozplakał.

Powoli jechali gorska droga, z każdą chwilą coraz bardziej zostawiając za sobą dom Albina von Klusky'ego, zasneżone szczyty i zime. Tym razem Darlan kroczył obok biegacza, bo wierzchowiec dzwigał kilka ciężkich worków - prezentów od profesora.

-Wiesz, że to była twoja przygoda, mój przyjacielu? - powiedział Darlan do swojego biegacza. - Gdyby nie ty, nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło.

I rzeczywiście. Kiedy rycerz w eskorcie czterech biegaczy doprowadził przerażonego slimonia do domu, zamknął go w tej samej piwnicy, w której sam przedtem był uwięziony. Potem dość dużo czasu zajęło mu dobudzenie Albina von Klusky'ego, uspiętego sprytnie przez Millupa herbata lipowa z miodem. Profesor początkowo nie chciał uwierzyć w winę swojego słuzącego, ale sam slimon był tak przerażony, że wyznał całą prawdę. Tak, to on porwał lodorożca także i za pierwszym razem, podawszy najpierw Albinowi środek nasenny w lipowej herbacie. Czemu to zrobił? Z zazdrości. Przez wiele lat w podgorskim laboratorium mieszkał z profesorem tylko on. Pomagał Albinowi, służył mu, obdarzał niemalże synowskim uczuciem. Sam von Klusky też dbał o niego, uczył wielu rzeczy i bardzo lubił.

-Slimon trudno w zyciu zyje! - tłumaczył Millup zadziwiająco długimi składnymi jak na niego zdaniami. - Przyjaciół rzadko, bo nasza mowa fajna, tak że aż dziwna. A i uroda inaczej jest.

Slimon po prostu bał się, że przestanie być ulubieńcem i przyjacielem zafascynowanego lodorożcem profesora. No i zdecydował pozbyć się rywala. Za pierwszym razem zostawił go w lesie, bo nie wiedział, jakie to może być dla Lodmila niebezpieczne. Za drugim razem postanowił go wynieść wysoko w góry. Znowu uspił Albina, sadił też, że Darlan spi zmęczony ostatnimi wydarzeniami. Nie docenił biegaczy. Te dostrzegły, że ktoś opuszcza dom, i bez problemu wyczuły ukrytego w worku lodorożca. I kiedy von Kluski smacznie spał, a rycerz czytał książki, ruszyły w pościg za porwaczem.

-Tak to jest, mój drogi - znowu zwrócił się do biegacza Darlan - kiedy przyjaciele przestają się rozumieć. Albin nie powiedział Slimonowi, że lodorożec interesuje go tylko ze względów naukowych, a Millup ani słowa nie pisał o swoich obawach. Ha, a może pisał, tylko von Kluski go nie rozumiał? Wcale bym się nie zdziwił. Niech już tam się ze sobą dogadają. Najważniejsze, że Lodmil jest teraz bezpieczny, a my możemy wędrować dalej. Nie za ciężko ci z tymi workami? Poprosiłem Albina o kilka książek, ale nie sadiłem, że da mi ich aż tyle.

"Bo i nie dał" - powiedziałby wierzchowiec, gdyby umiał mówić. W workach była tylko jedna księga (której tytuł na pewno wszyscy pamiętacie) i że sto kilo suszonych sliwek, które biegacz otrzymał od Albina za uratowanie lodorożca. Ta zima nie wydawała mu się już taka zimna.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-26

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/